Nr. 29. Poznań, Niedziela, dnia 20-go Lipca 1902 r. Rok VI.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.
Manuskryptów nie zwraca się.

Jakie to ohydne!

Taki wykrzyk mimowolnie wydziera się z piersi, gdy się czyta zamieszczony świeżo w num. 325 „Pos. Tageblattu“ artykuł pod tytułem „*Tannenbergfeier*“ („uroczystość tannenberska“). Wywody w nim zawarte sprawiają wrażenie, jakby autorowi chodziło o zagęszczenie w jednę całość wszelkich nikczemności, jakie się wśród plemienia niemieckiego w kwestyach polskich znachodzi. Jedna ohyda goni drugą w artykule rzeczonym, a w steku fałszów i kłamstw ginie zupełnie najdrobniejszy pierwiastek ludzkiego poczucia.

Pierwszy objaw podłości, co prawda już nie nowy, widzimy zaraz na wstępie w nikczemnem a głupiem jednocześnie usiłowaniu autora, ażeby obełgać opinią niemiecką tem niecnem podejrzeniem, jakoby „Polacy przygotowywali rewolucyę“.

Trzeba mieć chyba sporą dozę łajdactwa w sobie a swoim rodakom przypisywać dużo ciemnoty i naiwności, strasząc ich widmem polskiej rewolucyi przy tak potężnych organizacyach wojskowych we wszystkich trzech państwach zaborczych.

Ow idyota spodlonego typu wnioskuje z zachowania się prasy polskiej, że się przygotowuje wśród Polaków walka buntownicza i argumentuje wypróbowanym sposobem iście krzyżackich łotrostw. Znamy dobrze te argumentacye! Gdy prasa polska nawołuje do wewnętrzno-społecznej organizacyi i do politycznych czynów — wtedy krzyczy polakożercza chałastra hakatystyczna: „*das ist offenbar ein revolutionäres Bestreben*;“ gdy prasa nasza milczy w obec tajnych usiłowań narodowej samoobrony, słychać krzyk tych samych łajdaków: „das ist ein vielsagendes, beredtes Schweigen! Es ist offenbar etwas im Spiele“, a gdy wreszcie dzienniki nasze odradzają od wszelkich tajnych środków narodowej obrony — natenczas słychać znowu niegodziwe wrzaski: „das ist eben die polnische Heuchelei, dahinter steckt revolutionäre Wühlerei!“ Tym razem nie podoba się poznańskiemu „Tageblattowi,“ że jedna część naszych pism oświadczyła się przeciw odezwom „Ligii narodowej“, „co jest podejrzane“, druga zaś zachowała milczenie, „co niemniej jest podejrzane“. Cóż tu na tak ohydną hypokryzyą powiedzieć? Co powiedzieć dalej na argument niecny, że polskie dzienniki „podniecają nienawiść przeciwko wszystkiemu co niemieckie“ — jakby właśnie Prusacy sami nie dawali tej podniety ustawicznie i w tak wstrętny sposób?! „Tageblattowi“ nie podoba się nawet to, że dzienniki polskie wyrażają swą wiarę w sprawiedliwość i miłosierdzie Boże. Prusak tego charakteru i pokroju co autor owego artykułu, Prusak taki, który wszelkim świętościom bluźnić gotów, a wierzy tylko w pięść żelazną i tę pięść ubóstwia, sroży się i wścieka na to, że dzienniki wyrażając wiarę w potęgę Stwórcy, „głęboki a szkodliwy wpływ wywierają na lud prosty.“

W dalszym ciągu ów pismak łże bezczelnie, że „z winy Polaków przeciwieństwa na wschodzie tak bardzo się zaostrzyły“. Jakby to Polacy zabrali Niemcom ojczyznę i kuli wyjątkowe prawa przeciwko nim, jakby Polacy usuwali niemiecki język, siłą milionów wypierali Niemczyznę z jej ojczystych zagonów, wypowiadali jej walkę głodową i dręczyli ją na każdym kroku. Tak plugawem kłamstwem popisywać się przed światem może tylko Krzyżak-faryzeusz najpośledniejszego gatunku.

Ale nie dość na tem. W dalszym ciągu artykułu owa karykatura człowieczeństwa, jaką jest autor, stroi się w fałszywe strzępy ludzkich zasad, stawa niby to w obronie polskiego chłopa i polskiego robotnika i stęka, że dawniejszemi czasy stany te były „ofiarami szlachty i duchowieństwa.“ I to śmie pisać Prusak ubóstwiający krzyżackie zdzierstwa i okrucieństwa „Raubritterów“, owych opryszków i zbójców niemieckich

z tarczami herbowemi, którzy są plamą na karcie dziejów ludzkości! To śmie mówić Niemiec, który wie, a przynajmniej wiedzieć powinien, że wśród szlachty niemieckiej nie mało było okrutników, którzy chłopom podwładnym („Leibeigene“), gdy było zimno, rozpruwali żywoty, ażeby w ich wnętrzu wygrzać sobie swoje półmetrowe stopy giermańskie.

Z bezwstydem, polakożerczej zgraji właściwym, prawi następnie ów nędzarz moralny z oficyny „Tageblattu“, że Polacy nie mają kwalifikacyi do tego, ażeby tworzyć państwo, „ponieważ tak długo tylko istnieli odrębnie, dopóki sąsiednie państwa były w rozdarciu“. Pisząc o „rozdarciu sąsiednich państw“, a mając zapewne na myśli szczególnie rozdarte przez czas długi Niemcy, nie czuje ów scriba, iż tem samem wyraża się, że nie tylko Polacy, lecz także inne narody, a szczególnie niemiecki, przez czas dłuższy wewnętrzną waśnią rozdarte, nie były zdolne tworzyć państw, a nie uczuwa też wdzięczności, że potężna wówczas Polska nie skorzystała z słabości Niemców i nie zgnębiła ich w podobnym guście, jak to później uczyniły z nami Prusy.

Ale co najgorsze, to, że pismak ten nie tylko własną nikczemność z całym bezwstydem obnaża, ale nadto upadla cały naród niemiecki. Bo oto za ocalenie Niemców pod Wiedniem przez polskie rycerstwo z królem Janem na czele, każe narodowi swemu wywdzięczać się szyderstwem, że „nie Sobieski, ale książę lotaryngski oswobodził Niemców pod Wiedniem.“ Gdy przez całe dwa stolecia Jan Sobieski sławiony był przez świat, jako oswobodziciel Niemców i chrześcijaństwa, dzisiajsze pokolenie niemieckie ma czem prędzej wymazać z kart historyi wspaniałomyślność polską, która ją do głębokiej wdzięczności usposabiać powinna. Gdy Jan Sobieski po odniesionem zwycięztwie, jako tryumfator wjeżdżał w mury Wiednia, wtedy Niemcy bez różnicy płci — jak piszą kronikarze i historycy niemieccy — całowali szaty i stopy jego w zapale uczucia wdzięczności. Podług „Posener Tagbl.“, teraźniejsze pokolenie niemieckie powinno, tak jak autor artykułu, w zamian za owe zapały plugawą okazać niewdzięczność, zaprzeczyć łaskom i dobrodziejstwom doznanym ze strony Polaków — bo łaski te i dobrodziejstwa niejedno łajdactwo antypolskie stawiają w świetle jeszcze bardziej rażącem.

Jakie to — nierogate! Czyż warto rozprawiać się jeszcze z „organem opinii“ i autorem powyższych wywodów, gdy mu obcem jest najprostsze, najkardynalniejsze i nawet bydlętom przyrodzone uczucie wdzięczności?! Toż ów pismak stawia się sam niżej czworonogów!

I pragnąc na ten sam nizki poziom strącić cały naród niemiecki, ma jeszcze bezczelną odwagę dowodzić, iż „Polacy zaboru pruskiego swą dzielność zawdzięczają nie tylko niemieckiemu wychowaniu, lecz także niemieckiej krwi.“

„Odszczepieńcy niemieccy“ i ich potomkowie podług zdania „Tageblattu“ — stoją jako szermierze w pierwszych szeregach Polaków.

„Któż nie zna Szumanów, Wolszleierów, Neubauerów, Hoffmanów, Friedleinów, Jungów i Biedermanów, występujących jako Polacy z krwi i kości, lubo oni lub też rodzice ich jeszcze byli Niemcami. Plemię, które najlepszą siłę swą czerpać musi zawsze z obcej narodowości, nie jest narodem, zdolnym własny byt sobie stworzyć i zachować.“

Jeśli tak jest istotnie, jak opiewają powyższe zdania dosłownie przytoczone, to właśnie bardzo smutnem to dla Niemców świadectwem, że lepsze jednostki wolą odrywać się od błyszczącej potęgi niemieckiej, a przyłączać się i zespalać z osłabioną fizycznie i wyzyskaną materyalnie polskością. Nie siła, nie przemoc, nie gwałt polski to sprawił, że tak wielu obywateli z niemieckiem brzmieniem swych nazwisk o niemczyźnie i o prusactwie najchętniejby nic nie słyszało.

Ale faryzeusz w „Tageblacie“ przemilczał o tem, że wśród Niemców jest dużo Boguslawskych, Podbielskych, Posadowskych i tp., przypominających żywo ten smutny fakt dziejowy, że pasożyt niemiecki od wieków wypasa się na plemionach słowiańskich. Ale to wchłanianie w siebie odszczepieńców słowiańskich narodowości snadź moralnego pożytku narodowi niemieckiemu nie przynosi, skoro z dniem każdym opinia niemiecka podleje i spada do tak nędznego poziomu, na jakim ukazuje się oto podług przytoczonych wywodów, poznański „Tageblatt“ wraz z smutnym twórcą plugawego artykułu.

Potrzeba dużo powściągliwości i mocy panowania nad sobą, ażeby wobec tak ohydnych dokumentów duchowego upadku i moralnego rozkładu nie odwrócić się z wstrętem i nie — plunąć...

Vester.

Pamiętajmy o idei.

Przed tygodniem mniejwięcej pojawił się w pismach niemieckich następujący komunikat równobrzmiący:

„W porównaniu z wsiami komisyi kolonizacyjnej, kolonie potworzone przez *banki polskie nieszczególnie się rozwijają.* Od polskich banków kupują parcele i dobra rentowe przeważnie *polscy robotnicy*, nie mający należytego wyobrażenia o rolnictwie. Robotników tych sprowadzają Polacy po części z okolic, gdzie im rzekomo zagraża germanizacya. Ludzie ci kupują ziemię *za drogo*, ponieważ i banki polskie płacą za *wysokie ceny*, administracya jest droga, a nadto banki polskie dają *wysoką dywidendę*. Wszystko to muszą zapłacić polscy koloniści.

„Tylko w takim razie, jeżeli długie lata pracują za dobrem wynagrodzeniem na zachodzie w obwodach przemysłowych, mogą przy skromnem życiu, oszczędzić sobie niezbędne pieniądze na uiszczenie spłat rentowych. Żony i dzieci polskich kolonistów muszą ciężko pracować. Banki strzegą swych praw i przewłaszczają ziemię dopiero po dopełnieniu wszystkich warunków. Przesilenie ekonomiczne w ostatnich latach uszczupliło zarobek polskim kolonistom, położenie ich jest przykrem. Niemała liczba polskich kolonii sprzedawaną bywa na subhaście.

„Łatwo zrozumieć, że polscy robotnicy nie chcą ponosić takich ofiar, aby banki polskie mogły płacić tak wysokie dywidendy. Coraz więcej też mają procesów spółki parcelacyjne, ale je koloniści przegrywają, *co naturalnie nie może ich zachęcać do nabywania ziemi.* Będzie zaś o wiele go-

rzej jeszcze, jeśli przemysł na zachodzie i w następnych latach zatrudni tylko część polskich robotników. Trzeba też zważyć, że w większej części kolonii polskich nawet w urodzajnych latach nie zdoła się rodzina należycie wyżywić. Przyznają to sami Polacy, nie potrafią przecież zapobiedz złemu. Natomiast prawi się wciąż kolonistom, że *obowiązek narodowy każe im wytrwać*".

Twierdzenia, zawarte w tym komunikacie, są *przesadzone*. Tak źle nie jest! Jesteśmy też przekonani, że zarządy naszych banków i spółek parcelacyjnych w interesie prawdy wyjaśnią sprawę i *oskarżenie* prasy niemieckiej należycie sprostują. Tymczasem atoli i my wypowiemy zdanie, oparte na kilkoletniem doświadczeniu i bezpośredniem obserwowaniu ruchu parcelacyjnego u nas. A zdanie to takie:

Komunikat powyższy pochodzić musi bezwarunkowo z kół rządowych, rejencyjnych a może i sądowych, które z wyższego polecenia śledzą polską akcyą parcelacyjną. W kołach tych zauważono widocznie z radością, że po naszej stronie nie wszystko dzieje się, *jak się dziać powinno*. Ubrano tedy małe jądro prawdy w sensacyjno-jaskrawą szatę, aby z jednej strony uniewinnić niefortunne nawet dla Niemców działanie *komisyi kolonizacyjnej*, a z drugiej strony, ażeby tych z pośród ludu naszego, do których uszu dochodzą także głosy pism niemieckich — *odstraszyć* od nabywania parcel z rąk instytucyi parcelacyjnych polskich. Dobro sprawy wymaga, ażeby podstępne te zamiary w zarodku udaremnić, trzeba więc bez ogródek wyjawić *całą* prawdę.

Zaprzeczyć się niestety nieda, jak to już powyżej zaznaczyliśmy, komunikat ten zawiera rzeczywiście *jądro prawdziwe*. Odnosi się ono nietyle do naszych banków i spółek parcelacyjnych, ile do *prywatnych parcelantów*; ale i niektóre spółkowe takie instytucye *nie są bez winy*.

Twierdząc to — oświadczamy z góry, że nie mamy do nich najmniejszej niechęci, że szczerze im jesteśmy życzliwi i że najgoręcej pragnęlibyśmy popierać zbawcze zadanie, które spełniać mają. Na dowód tego z góry wykazujemy, że należycie uwzględniamy trudności, z jakiemi walczyć muszą.

Że Spółki nasze parcelacyjne sprzedają ziemię *drogo*, nie jest to w pierwszym rzędzie ich winą. Wina to *Niemców, wina komisyi kolonizacyjnej*, która — jak to już dawniej wykazaliśmy — niesłychanie u nas, ponad jej wartość i *rentowność*, podraża ziemię, jedynie dla celów antypolskich i politycznych. Jeźli tedy pisma niemieckie wskazują na to, że Spółki nasze sprzedają ziemię *drogo*, to dopuszczają się wstrętnej obłudy. Gdyby były uczciwe, powinny by dodać, że *muszą* ją drogo sprzedawać, gdyż wobec konkurencyi *komisyi kolonizacyjnej* same *tanio* jej nabywać nie mogą.

Nam chodzi atoli o to, ażeby nie sprzedawały ziemi *za drogo*, tak drogo, iżby to z konieczności pociągać musiało za sobą ruinę nabywców. A niestety, bardzo często i *to zachodzi*.

Tu znów wina spada nietyle na Spółki, ile na całe nasze społeczeństwo, mianowicie zaś na tych, którzy zasilają je *kapitałami* w postaci udziałów lub depozytów.

Jedną z najgorszych wad naszych— brak umiarkowania. Ta wada i w tej sprawie objawia się w całej pełni. Zwykle postępujemy tak: albo poświęcamy dla sprawy *wszystko*, mienie i pracę, albo na sprawie pragniemy zanadto się obłowić. Środkowej drogi, *czynienia dobrze, nie wyrzekając się skromnych, a słusznych zupełnie korzyści osobistych — nie znamy!* W sprawach zaś, jak ta, o której mówimy, przynieść może *społeczeństwu* zysk tylko ta droga *pośrednia*.

Zdarza się więc często, że ci wśród nas, którzy posiadają jakiekolwiek kapitały, rzucają je na szalę walki i pracy społeczno-narodowej jako fundusz z góry na stracenie przeznaczony, albo też wymagają zbyt wielkich *zysków* od razu, nie bacząc na to, że dobro sprawy tego nie znosi. W pierwszym z takich wypadków szastamy pieniędzmi, w drugim uprawiamy nieraz *lichwę* prawie. I to ostatnie odbija się najdotkliwiej właśnie na naszej akcyi *parcelacyjnej*, zarówno prywatnej, jak i spółkowej.

Znaliśmy kilku bardzo zręcznych parcelantów, którzy mogli byli ocalić niejeden szmat ziemi ojczystej od utraty. Sami jednakże własnych dostatecznych kapitałów na to nie posiadali, ci zaś, którzy dostarczali im funduszów, żądali wprost lichwiarskich zysków i przez to *zmuszali* owych parcelantów do *wyzyskiwania*, przyrodzonej naszym robotnikom i włościanom żądzy posiadania własnego kawałka ziemi, narażając przez to wielu z nich na utratę całego mienia. Tak działo się mianowicie na *Kujawach*, co nawet sądownie stwierdzono. A i Spółki nasze skazane są niekiedy na taką samą ostateczność. Gdyby nie dawały wygórowanych zysków, dywidend i procentów, *nie miałyby po prostu kapitałów do swej działalności*.

To jest faktem, jest prawdą, a prawdzie odważnie trzeba zajrzeć w oczy.

Mamy tedy nadzieję, że za wykazanie tej prawdy żaden *uczciwy* obywatel na nas się nie pogniewa.

Tak samo zresztą dzieje się i w innych gałęziach naszej pracy zarobkowej. W iluż to wypadkach nasi kupcy i przemysłowcy w imię hasła: „*Swój do swego*" narzucają właśnie *swoim* towar drogi i lichy i pragną się kosztem *swoich* jaknajrychlej zbogacić, a i wśród innych zawodów nie braknie przykładów takich. Od swoich żąda się częstokroć tego, czegoby się od *obcych* nigdy żądać nie odważono.

To jest prawdziwy *rak*, który toczy wszelką naszą pracę ekonomiczną i tego raka trzeba rychło wypalić i zniszczyć, inaczej zgangrenuje całe nasze społeczeństwo i skaże nas na śmierć przedwczesną.

Pamiętajmy tedy zawsze chociaż *po troszę o idei*, o dobru *ogólnem*. Nie można żądać od nikogo, ażeby dla sprawy — w położeniu jak dzisiajsze nasze — poświęcał *wszystko*, ażeby wcale już nie myślał o *sobie*. To byłoby pięknem — ale sprawie nie przyniosłoby *zbawienia*. Tu koniecznie trzeba łączyć *jedno z drugiem*. Kupiec i przemysłowiec, adwokat i lekarz niech zawsze ma na uwadze, że klient jego albo odbiorca jest także Polakiem, który również w najtrudniejszych warunkach w pocie czoła na chleb pracować musi, że przeto nie należy wymagać od niego *za wiele*. Ci zaś, którzy mają pewne kapitały i te dają bankom i spółkom parcelacyjnym, niechże nie wymagają zaraz lichwiarskich zysków, niech się zadowolą *skromnemi*, takiemi, jakieby przyniósł papier wartościowy zupełnie *pewny*. Przez to nietylko ochronią Spółki od podrażania ziemi, nabywców ziemi od ruiny, ale także zapobiegną *zbyt ryzykownym* nieraz spekulacyom, które ostatecznie wszystko na utratę narazić mogą.

I *kierownicy* Spółek niechby zadowolnili się skromniejszemi pensyami i tantyemami, niechby również pamiętali o tem, że pracują *nietylko* dla osobistego zysku, lecz także dla dobra *sprawy!*

A sprawa ta wyzysku *długo nie zniesie*. Popęd ludu naszego do nabywania ziemi, to czynnik w stosunkach naszych *niezmiernie dodatni i doniosły, to zbawienie* nasze. Szanujmy go — a nie osłabiajmy! Źle będzie, gdy zrazimy lud nasz, gdy odbierzemy mu *ufność do swoich!* Przecież grosz jego, to *krwawica*, to grosz *sierocy*. *Szanujmy go* — a nie zagarniajmy ponad słuszną miarę. Co się stanie, jeźli lud straci ten błogosławiony wprost popęd? Tysiące hektarów pójdą wówczas w ręce obce — a społeczeństwo nagle ujrzy w swem łonie tysiące bezrolnego proletaryatu, który chętnie da ucho i serce — *socyalnej demokracyi*.

Nie wyzyskujmy się więc wzajemnie, bo obcy i tak aż nadto nas wyzyskują. Nie wyrzucajmy grosza na *bezowocne* ofiary, ale też nie usiłujmy *bogacić* się

kosztem *sprawy publicznej*. Pamiętajmy zawsze chociaż *po trosze* o idei, pamiętajmy o tem, że hasło: *Swój do swego* polegać musi zawsze na ***zupełnej wzajemności***, inaczej rychło już straci wszelką swą wartość.

Ponośmy ofiary *wszyscy*, a nie żądajmy ich wyłącznie od *ludu*.

Pamiętajmy o idei braterstwa i wspólnej obrony!

Prawdzic.

Chorobliwa czechomania.

Pod tytułem „w obronie polskiego morza“ otrzymaliśmy z Galicyi następujące uwagi:

„Przywykliśmy już do tego, aby uważać Czechów za mędrszych, wytrawniejszych i energiczniejszych od nas samych, za pewnego rodzaju mentorów i nauczycieli, zwłaszcza w sprawach narodowo-ekonomicznych. Czy słusznie? Mojem zdaniem tak, i to bardzo! Lepiejby też powodziło się nam na każdem polu, gdybyśmy nietylko słuchali, co nam Czesi mówią, lecz także stósowali się do ich wskazówek i nauk i według nich postępowali.

Nie weźmiecie mi może za złe, że i ja się dziś odwołam do zdania *Czecha* i to w obronie *polskiego morza*.

Siedzieliśmy — kilku Wielkopolan i Krakowian w Krakowie u *Hawełki* i mieliśmy między sobą brata Czecha, który przybył wraz z nami zwiedzić Kraków i wziąć udział w uroczystościach *grunwaldzkich*. Już to Czesi stokroć bardziej interesują się nami, niż my nimi. Tak i w tym wypadku; z pośród nas ośmiu zaledwie dwóch rozumiało jako tako po czesku, Czech zaś władał płynnie językiem polskim. A nie był to bynajmniej specyalny jaki amator polskości, uczony lub literat, nie, średnio zamożny przemysłowiec.

Mówiliśmy o wszystkiem, wreszcie rozmowa zeszła na wody i miejscowości lecznicze. Czech był ciekawy bowiem, czy Polacy bojkotują rzeczywiście „bady“ niemieckie, jak o tem tyle pisano w ostatnim czasie.

— Gdy chodzi o miejscowości lecznicze *lądowe*, ozwał się jeden z Krakowian, publiczność nasza w tym roku trzyma się jako tako; albo siedzi w domu, albo dąży do miejscowości kuracyjnych krajowych. Naturalnie nie braknie także niepoprawnych wyjątków. Najgorzej atoli z *morzem!* Komu potrzebne morskie kąpiele — cóż ma począć, dokąd się udać? Do Adryatyku daleko, przytem tam drogo bardzo, a to także nie nasze.

— A *Bałtyk?* spytał nagle Czech z pewnem zdziwieniem. — Toć to morze przynajmniej do połowy słowiańskie, bo dwie trzecie południowo-wschodniego wybrzeża, to prastare dziedziny słowiańskie i łotyskie. Część zaś była przecież własnością *Polski*...

— I Bałtyk już nie nasz dzisiaj — ozwał się ktoś z pośród nas nieśmiało, na całym brzegu panoszą się Niemcy.

— Czy także w *Copotach?* — przecie to okolica czysto polska-kaszubska?

— I w Copotach tak samo jak wszędzie. Polskie domy i zakłady policzyć można na palcach jednej ręki, pozatem grosz nasz i tam płynie w ręce niemieckie.

— Nie jeździcie więc do Copot? indagował Czech dalej.

— W tym roku z powodu antypolskiego szału mało kto się tam wybrał.

Czech aż się żachnął.

— Dziwni z was ludzie, — zawołał, — niby to dzielnie się bronicie, a jednak ustępujecie na każdym kroku. Niedość, żeście w dawnych wiekach po prostu *darowali* Bałtyk Niemcom i przez to zamknęli sobie i Słowianom wogóle wolną drogę do reszty świata, co strasznie się odbiło na ojczyźnie naszej, ale i dziś nie czynicie nic zgoła, aby błąd naprawić w cząsteczce chociaż i stworzyć — no, chociażby tylko *jedno polskie miejsce kąpielowe nad Bałtykiem*...

— Nie zna pan chyba systemu pruskiego.

Czech nie dał mu dokończyć.

— Wiecznie te skargi na system *pruski*. Czyż tak trudno przeciwstawić mu system *polski*, tak samo energiczny, silny, dobrze obmyślany, konsekwentnie przeprowadzony? *Przecież głów wam urwać nie mogą, za pracę i zabiegliwość także was nie wepchną do więzienia — o cóż więc chodzi?* Gdyby Bałtyk był nasz, *czeski*, ręczę wam, dawno już mielibyśmy nie jedno, ale sześć *własnych* miejsc kąpielowych, a kto wie, czy jużby i czeskie *okręty* nie płynęły po morzu? My morza nie mamy, i to całe nasze nieszczęście, toć to wrota do świata; zazdrościmy wam Bałtyku — wy zaś nie umiecie go wyzyskać..... choćby dla kąpieli.....

Pospuszczaliśmy głowy, brakło nam jakoś odpowiedzi. Wreszcie ktoś się spytał:

— W jaki sposób?

— A no, w bardzo prosty! Posłuchajcie, co my byśmy zrobili. Nasamprzód nie pozwolilibyśmy się Niemcom wyprzeć z Copot *szykanami*. *Od tych nikt jeszcze nie umarł*, nie trzeba też takich rzeczy brać zbyt *tragicznie*. „Schwamm drüber“; jak mówią Niemcy. Przeciwnie powiedzielibyśmy sobie: Za lat 10 Copoty muszą być *nasze!* Potem poszłoby po kraju hasło: „Komu środki na to pozwalają, kto potrzebuje morskich kąpieli; temu ***nie wolno*** wyjechać gdzieindziej, jak tylko *tamdotąd*. *Biada temu*, kto chciałby się wyłamać z tego obowiązku! Biada temu, ktoby śmiał się zasłaniać np. takiemi względami: Nie pojadę tam, bo tam jedzie ten i ów, a ja nie chcę się z nimi spotykać codziennie. To byłoby wprawdzie po *polsku* (— wybaczcie! —) ale byłoby także *grzechem wobec dobra narodowego*. Pojechalibyśmy więc wszyscy. Równocześnie obejrzano by się za ludźmi, zdolnymi do prowadzenia *domów dla gości, hoteli, restauracyi* itd. Fundusze w lot by się znalazły — tylko *przypilnowano by, ażeby nie poszły na marne*. Z początku przymrużono by oko na niejedno niedomaganie, później atoli żądano, by od *swoich*, aby nas tak obsługiwali, jak Niemcy. Który zaś nie umiał by tego — wnet by się z nim uporano. *Precz!* **ustępuj miejsca *zdolniejszemu — byle rodakowi. Niezdarów nie znosimy, niech zginą*. Jedna, druga choćby i dziesiąta nieudana próba nikogo by nie zraniła. Jedenasta dopisze *napewno*! I wasz Kraków nie w jednym roku zbudowany. *Tylko się nie zrażać niczem*! To kardynalna zasada. *I Niemcy nie zrażają się niepowodzeniem w walce z wami*. Jeżli będziecie słabsi od nich, zmarniejecie. Przy takim ot systemie, ręczę wam, za lat dziesięć mielibyście własne polskie wody morskie.....**

— Nie dajcie się wyśmiać — ciągnął dalej — z tym waszym *bojkotem*! Jeździcie do Norderney i Bóg wie, do jakich innych dziur niemieckich, a bojkotujecie.... własną *polską* ziemię, własne *polskie morze*!! To śmieszne!!

Milczeliśmy; trudno nam było zaprzeczyć trafności tych uwag — a jednak, nie czuliśmy się jakoś na siłach spełnić to, co Czech nam radził.

— Tak! — bąknął wreszcie ktoś już więcej potulnie — gdybyśmy to byli *Czechami*!!

— A więc wolicie być Niemcami, ustępować Niemcom na każdym kroku, aby was — pochłonęli?

— Bynajmniej!....

— „Tertium non datur“ — wołał Czech w zapale. *Albo wy, albo oni!* Wina wasza przedewszystkiem to, że nawet w polityce narodowej jesteście zanadto *ludźmi*, kierującymi się tysiącem względów osobistych — nawyknień i wygód. Polityka narodowa w położeniu jak wasze — to ***walka***, to kwestya ***być albo nic być***. Tu *idea* musi górować ponad *wszystkiem*, rozumiecie: ***ponad wszystkiem***. Dla niej nie ma trudu, nie ma poświęcenia, któreby były *za wielkie*. Spamiętajcie to sobie! A przedewszystkiem: brońcie *polskiego morza!*

Była w tych słowach siła, była wola nieugięta, był hart — przed którym bić musimy czołem. I znów mimowoli odezwał się ktoś: „Tak! gdybyśmy byli *Czechami*.“ A w uszach dźwięczało nam dalej silne, męzkie wezwanie:

„*Brońmy morza polskiego!*“

* * *

Oto do czego przywodzi przesada!

Nikt z nas nie odmawia Czechom narodowej krzepkości, wszyscy uznajemy tę żywiołową siłę, jaką okazali w fazie odrodzenia, szanujemy ich energią, cieszymy się z ich powodzenia. Wszelako to zaślepienie, to prawie bałwochwalcze wysławianie Czechów, stawianie ich za wzór do bezwzględnego naśladowania, to wynoszenie ich ponad polskość — zakrawa po prostu na chorobę.

Przed kilkoma miesiącami, gdy sprawa wrzesińska głęboko poruszyła opinią i poczucie wspólności szczepowej w słowiańszczyźnie, przybyli w gościnę do Poznania w podróży do Warszawy i Rosyi więksi przemysłowcy i kupcy cze-

scy, a wysłuchawszy naszych utyskiwań i skarg, pokwapili się z receptami, jak powinniśmy wobec Niemców postępować. Wyładowali wówczas spory zapas przepisów, znakomicie się nadających do walki narodowościowej w Czechach, ale nie odpowiadających stosunkom naszym. A pisma poznańskie skrzętnie spisały owe przepisy z wyraźnem lub cichem dla czeskich braci uwielbieniem i domyślnikiem tej mniej więcej treści: „Oto patrzcie Polacy! O ileż to Czesi lepsi od was!“

Wówczas to, pomiędzy innemi zapytywał jeden z pobratymców czeskich i zarzucał nam, dlaczego to sami poskiemi kapitałami nie założyliśmy tramwajów elektrycznych i dlaczego następnie, gdy usuwać poczęto z wozów i przystankowych tablic napisy polskie, nie odpowiedzieliśmy bojkotem i nie poczęliśmy chodzić pieszo!

I w ślepem ubóstwianiu czeskiej siły i wielkości nie odpowiedziano wykazaniem różnicy pomiędzy stosunkami w Czechach a w dzielnicach polskich zaboru pruskiego!

Nie zaznaczono przedewszystkiem, że cały państwowy i administracyjny ustrój w Austryi dla poszczególnych narodowości jest zupełnie innym niż w Prusiech dla nas. Przedsiębiorstwo takie, jak tramwaje elektryczne, wymagające koncesyi władz municypalnych i policyjnych, z góry musiałoby się liczyć z poważnemi trudnościami i przeszkodami, gdyby było polskie. Nie uwydatniono też różnicy zamożności i dobrobytu w Czechach a u nas; prawda, że kapitałów większych poszczególnych obywateli zamożnych leży jeszcze dość dużo w bankach krajowych i na obczyźnie, ale chociażby wszystkie uruchomić chciano na cele narodowo-ekonomiczne, to okazałoby się, że tramwaje elektryczne w Poznaniu nie byłyby najpilniejszem przedsięwzięciem wśród dziesiątek i setek innych potrzeb wobec powszechnego u nas ubóstwa. Gładko mówić Czechom, coby zrobili u siebie w danych warunkach, oni, rozporządzający znacznemi kapitałami i nie mający władz pruskich nad sobą; gładko też prawić o zbojkotowaniu tramwajów, gdy zazwyczaj chodzi o wczesne załatwianie się z interesami i zaoszczędzenie czasu! Omijając tramwaje elektryczne, dziś, gdy stanowią bardzo poważną część w ruchu komunikacyjnym, zadawalibyśmy sobie straty w czasie, który Anglicy słusznie za równowartościowy pieniędzom uważają, a przez to dalibyśmy awans Niemcom korzystającym z oszczędności czasu. Z wszelkich więc czeskich przepisów, jak powinniśmy zachować się wobec tramwaji poznańskich, pozostałoby jedynie to, cośmy sobie już sami dawno powiedzieli, że ilekroć nie chodzi o interes pilny i czasu oszczędność, powinniśmy unikać tego środka komunikacyjnego, któremu pod wpływem władz nam wrogich nadano wyłącznie niemieckie, lekceważące naszę narodowość piętno.

Ale stokroć śmieszniej jeszcze niż recepty czeskie dane w Poznaniu, brzmi rada Czecha udzielona w restauracyi Chawełki w Krakowie, ażebyśmy zdobyli co rychlej Bałtyk, chociażby tylko w Copotach. Wewnątrz dzielnic polskich, przez Prusy zabranych, wre walka o każdą piędź ziemi, o każdą istotę polską na zniemczenie skazaną, o każde istnienie zagrożone głodowym bojkotem; a tu Czech nam zaleca, abyśmy właśnie z powodu prądów wypierających polskość, garnęli się do Copot, jeździli tam solidarnie, okupywali się, zakładali restauracye i przynajmniej tam zdobywali morze dla polskości.

Ile w tem naiwności! Jakże wyobraża sobie Czech przedewszystkiem zamożność naszę, przypuszczając, że letników polskich tysiące jeżdżą nad morze dla wypoczynku lub kuracyi! Jak mylnie ocenia naszą zasobność, radząc, ażebyśmy z pomocą kapitałów naszych zajmowali Copoty. Jak naiwne wreszcie ma pojęcie o władzach pruskich, kombinując, iż przy energicznych usiłowaniach dominowalibyśmy w Copotach! Cenimy wysoko zapał owego czeskiego przemysłowca i jego rodaków a naszych pobratymców; chętnie też oddajemy im cześć za dzielną narodową obronę; ale niestety nie możemy uznać, iżby rady, jakie się coraz obficiej sypią z krainy czeskiej do nas, dały się praktycznie zastosować i odnieść miały skutek, wyobrażany sobie przez Czechów. A co do Copot specyalnie, to nasze zdanie streszcza się w napomnieniu, ażeby letnicy polscy tak te, jak inne niemieckie wody omijali, a wieźli grosz w szczero polskie strony przysparzając im dobrobytu. To jest bliższe i pewniejsze, niż rojenia o zdobyciu Bałtyku!

Idźmy za wskazówkami, jakie wynikają nietylko z naszych potrzeb, ale i z naszego rozpoznania, a mimo wszelkich pobratymczych szczerych uczuć nie bawmy się w ślepą czechomanią.

Verus.

Plaga znachorstwa.

„U nas, gdy kto „trochę“ chory,
„Zwołuje zaraz doktory;
„Ale gdy kto „bardzo“ słaby,
„Woła chłopa, albo baby.“

Tak scharakteryzował Mickiewicz szkodliwą i fatalną wadę, jaką jest wiara w „mądrych“ chłopów i „mądre“ baby, tak jeszcze rozpowszechniona u nas mimo ogromnego postępu sztuki lekarskiej. Przed oczami naszemi przemykają się niezliczone a smutne obrazy ofiar niesumiennego partactwa i wyzysku samozwańczych „lekarzy“, widzimy mnóztwo kaleków i zniedołężniałych cieleśnie, którym umiejętne leczenie mogło było siły i zdrowie przywrócić, widzimy w nędzy i żałobie niejedną rodzinę, pozbawioną chleba przez ubytek głowy rodziny, wyprawionej czarami znachorów i znachorek na tamten świat.

A jednak w każdej nieledwie okolicy napotykamy dziś, tak samo jak dawniej jaką „mądrą“ lub „mądrego“, do których spieszą po radę zaślepieni i każą się łudzić tajemniczą szarlatanerją, okadzaniem, zażegnywaniem i wyklinaniem „niezdrowiska.“

Ileż to nieszczęść, ile klęsk, a nawet tragiki spowodowało już znachorstwo, a z pewnemi odmianami słyszy się ciągle, że tu „mądre“ leczenie przywiodło kogoś do kalectwa, tam pogorszyło chorobę, a gdzie indziej jeszcze wtrąciło ofiarę do grobu.

Lada oszust niezdolny lub niechcący uczciwym sposobem zarobić sobie na kawałek chleba, sam się mianuje „dochtorem“, prawi o cudach, o świetnych skutkach leczenia, zakończonego zwykle rozpaczą rodziny i pogrzebem. I lada oszust pospolity, wycisnąwszy niekiedy ostatki z kieszeni biedaków, przygniecionych klęską choroby, śmieje się potem w duszy z głupoty, przepijając te grosze, które rozumnie, przy rzetelnej pomocy lekarskiej użyte, mogłyby przywrócić choremu zdrowie, a szczęście rodzinie! A jakież to przykre, że właśnie w dzielnicach polskich znachorstwo, ta spekulacya najnikczem-

niejszej kategoryi, znajduje swoje Eldorado.

Ale byłoby przesadą twierdzić, że wada ta społeczna nieznaną jest wśród innych narodów. Z pewnemi odmianami znajdujemy ją wszędzie, a dzięki „wolności procederowej“ widzimy ją też pośród Niemców w szkodliwej konkurencyi z prawdziwą nauką i sztuką lekarską.

Są w Niemczech znachorzy, do których łatwowierni zjeżdżają się nawet z najdalszych stron i którzy tak ustalony mają rozgłos i praktykę, że najdzielniejszy lekarz w ich pobliżu nie może się utrzymać.

Liczne skargi, pochodzące z kół medycznych, spowodowały wreszcie ministra oświaty do wydania specyalnych przepisów przeciwko znachorstwu.

Podług przepisów tych, osoby trudniące się leczeniem, a nie mające odpowiednich aprobacyi, zobowiązane są przed rozpoczęciem swego procederu zgłosić się z uwiadomieniem do powiatowego lekarza, podając jednocześnie swoje mieszkanie i wymagane szczegóły o swoich osobistych stosunkach; osoby zaś, trudniące się już tym procederem, zgłoszenie takie uskutecznić powinny w przeciągu 14-tu dni po wydaniu rozporządzenia. Zmiany mieszkania w przeciągu 14-tu dni zgłosić należy.

Publiczne ogłoszenia nieaprobowanych osób leczeniem się trudniących, są wzbronione, o ileby mogły łudzić publiczność co do fachowej umiejętności, kwalifikacyi lub skuteczności. Tak samo nie dozwolonem będzie ogłaszanie przedmiotów, przyrządów, sposobów lub środków leczniczych, gdy im szczególna jakaś siła lub skuteczność po nad wartość istotną będzie przypisywaną, albo też gdy ich działanie szkodliwem być może dla zdrowia.

Wszelkie przekroczenia przeciwko rozporządzeniom powyższym podlegać będą karze aż do 60 mk. lub odpowiedniej karze więziennej.

Wątpimy, czy powyższe przepisy odniosą pożądany skutek. Znachorzy nie stracą zapewne na wziętości przez to, że do zgłoszeń urzędowych będą zobowiązani, a zakaz ogłaszania środków leczenia mało zapewne wpłynie na znachorski proceder.

Dopóki więc ministerstwo skuteczniejszych środków nie wymyśli, dopóty uważać należy oświecanie przez prasę, towarzystwa i pouczanie za jedyny środek do zwalczania niesumiennego partactwa niepowołanych „dochtorów.“

Ordon.

Obchód grunwaldzki.

I. W Krakowie.

Na wniosek radzcy miasta Turskiego Rada miejska stolicy Jagiellonów postanowiła przyjąć zbiorowy udział w pochodzie i nabożeństwie w dzień rocznicy grunwaldzkiej, którą tamże aż do roku 1794 solennie obchodzono.

Już rano o godzinie 8 w dzień pamiętny miasto przybranem było w odświętne szaty. Setkami chorągiew zabarwiły się szczególnie ulice Florjańska, Grodzka i Rynek główny, kędy pochód miał się przesuwać. Z wieży Marjackiej rozbrzmiewały hejnały „Jeszcze Polska nie zginęła“, na ulicach zaroiło się od dziewcząt wiejskich, barwnie przystrojonych z wieńcami z polnych kwiatów, od wiejskiej dziatwy szkolnej, zwiezionej z okolic Krakowa, od konnych banderji wieśniaczych i licznych oddziałów sokolskich.

Nad pochodem do kościoła N. P. Maryi objął komendę naczelnik Eminowicz, generalny mistrz ceremonii z pp. Fenzem, Winklerem, Zatorskim i Dawidowskim. Na czele pomykała banderja Krakusów. Następnie szło 14 czwórek z wsi Bieńczycy a za niemi zaraz drugich czternaście z dzielnym gospodarzem Ptakiem na przodzie.

Oko oderwać było trudno od tych Krakusów. Zginęli jednak wkrótce z oczu przejechawszy Rondel i Bramę Floryańską. Za nimi postępowała orkiestra włościańska z Bierzanowa, grając marsza Kościuszki. Dalej straż pożarna miasta Krakowa ze swoim inspektorem p. Fiedlerem; delegacye straży ochotniczych z Krowodrzy, Krzeszowic i okolicy Krakowa. Deputacye włościańskie z Bieńczyc, Kryspinowa, Zielonek, Toń i Bronowic około 300 włościan i włościanek, niosły kilka wieńców dębowych. Wśród delegacyi z Toń postępował znany poeta Lucyan Rydel w ubraniu krakowskiem. Szli potem chłopi czwórkami, z pobliskich wsi Krakowa.

Za nimi zaraz wielki, wspaniały wieniec z olbrzymiemi czerwonemi szarfami rzucał się w oczy. To delegacya naszego Towarzystwa szkoły ludowej niosła wieniec wielkiemu „pogromcy Krzyżaków“. Delegacya liczna: na czele prezes Towarzystwa prof. Ernest Bandrowski, pani Marya Siedlecka, pani Bujwidowa, pani Kolarzowka, kilkanaście innych pań i panów. Wieniec Towarzystwa szkoły ludowej nieśli pp. Antoni Barko, dyrektor Parczyński i prof. Januszewski. Za tą delegacyą postępowali przedstawiciele Tow. oświaty ludowej.

Zmiana obrazu. Starszych już nie widać, idzie tylko sama młódź wiejska; dziatwa szkolna z pobliskich wsi sunie parami; oczka wesołe, twarze uśmiechnięte. Nauczyciele zadowoleni, że uczniów swoich do Krakowa przyprowadzić mogli. Jest tu dziatwa z Kryspinowa, z Krzyskowic (wysłana kosztem p. Jerzmanowskiego.) Dalej znów dziatwa szkół krakowskich, nauczyciele i nauczycielki. Za dziatwą delegacya „Gwiazdy“ ze sztandarem, „Krakusa“, „Jutrzenki“, „Pracy“, „Przyjaźni“, Stowarzyszenia przemysłowe, restauratorów, drukarzy itd.

Za orkiestrą „Harmonii“, która postępowała z kolei, sześciu włościan niosło olbrzymi wieniec z czerwonemi szarfami od Tow. imienia Kościuszki, za nimi przedstawiciele rękodzielniczych cechów, delegaci różnych miast mniejszych, stowarzyszeń mieszczańskich i zawodowych, a następnie delegacya „Czeskiej „Besedy“, do której przyłączył się znany szermierz słowiański Klofacz. Dalej postępowała młodzież szkół wszelkich, posłowie Rady państwa: Doboszyński, Petelenz i Rotter, Litwini: Józef Angrabajtis, prof. Bujwid i Janusz Niedziałkowski z wieńcem o czerwonobiałych i zielonych szarfach, na których widniał napis litewski: *Karalini Lieturos Jagiełai ir didżiam Kunigaik-Szczini Vytantui;* na drugiej napis polski: *Litwini pamięci króla Jagiełły i Wielkiego księcia Witołda.*

Pochód zamykali przedstawiciele rozmaitych instytucyi, straż pożarna i nieprzeliczony tłum publiczności.

Po solennej mszy św. w kościele Marjańskim, celebrowanej przez ks. prał. Krzemieńskiego, i patryotycznem kazaniu, wygłoszonem przez ks. Janickiego, pochód ruszył na Wawel, gdzie wspaniałe popisy muzyczne i mowa prezesa komitetu obywatelskiego wprawiła uczestników w nieopisany zapał. Oddawszy cześć bohaterowi z pod Grunwaldu u jego królewskiego sarkofagu, delegacje w tym samym porządku zeszły z góry zamkowej ku miastu przy dźwięku trzech orkiestr. Na tem skończył się wspaniały obchód. *W. P.*

II. We Lwowie.

Pochód będzie — chociażbyście mieli strzelać do ludu! Temi słowy odpowiedział komitet lwowski policyi tamtejszej na zakaz pochodu. I to poskutkowało! Policya, mając jeszcze w świeżej pamięci ostatnie krwawe zajścia uznała jednak za lepsze pofolgowanie wzburzonym uczuciom narodowym, niż spełnienie nowej tajnej klauzuli w odnowionem *trójprzymierzu.*

Obchód we Lwowie odbył się już w niedzielę dnia 13 b. m. a posiadał również cechę poważnej i wspaniałej manifestacyi narodowej.

Rano o pół do 6tej sto strzałów moździerzowych z Kopca *Unii Lubelskiej* obwieściło miastu, że zawitał dzień obchodu, poczem z wieży ratuszowej odegrano hejnały. Muzyka narodowa, przeciągając ulicami, odegrała pobudkę. O 9 rano zaczęły się gromadzić w murach ratusza deputacye rozmaitych cechów i towarzystw z sztandarami.

O godz. 10 ruszył pochód do kościoła katedralnego. Otwierał go pluton ochotniczej straży ogniowej i „Sokół“, dalej szła orkiestra kolejowa, przygrywająca marsze narodowe, deputacye cechów ze sztandarami, tow. „Skała“. „*Besedy czeskiej*“, tow. „Rodzina“, tow. kupców i młodzieży handlowej, akademicy i słuchacze politechniki, członkowie tow. strzeleckiego z królem kurkowym i oboma marszałkami w kontuszach, *Rada miasta* z prezydentem i oboma wiceprezydentami we wspaniałych strojach polskich, zastęp młodzieży gimnazyalnej i realnej, włościanie z okolicznych wsi itd. Pochód zamykał drugi oddział ochotniczej straży ogniowej.

W kościele archikatedralnym celebrował mszę św. kanonik Lubomęski, zaś okolicznościowe kazanie wygłosił ks. Kiernicki. Na mszy św. byli obecni *członkowie Wydziału kraj.*, liczne *grono posłów*, członkowie wydziału Tow. dziennikarzy polskich, oddział Sokołów, oraz licznie zgromadzona publiczność.

Również odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele katedralnym obrządu *ormiańskiego* i w *synagodze*.

Tylko *Rusini* pozostali obojętni...

O godz. 12-tej wszystkie deputacye cechów, towarzystw, tudzież oddział „Sokołów“, włościanie, partya socyalno-demokratyczna i liczna publiczność, ruszyła pochodem do gmachu teatru miejskiego z orkiestrą czytelni kolejowej na czele, która przygrywała marsze polskie. W teatrze, zapełnionym po brzegi publicznością, wygłosił dr. Aleksander *Czołowski*, odczyt o bitwie pod Grunwaldem, który przyjęto oklaskami. Następnie podniosła się zasłona, a na scenie widniał kolosalnych rozmiarów biust Jagiełły w otoczeniu zieleni, który kilkaset delegatów rozmaitych towarzystw i Sokołów z sztandarami otoczyło w półkole. Połączone chóry lwowskich towarzystw muzycznych odśpiewały okolicznościową kantatę, poczem naczelnik Sokołów p. Durski odczytał nadesłane telegramy od kobiet z Litwy i Rusi litewskiej, od Polek z pod rosyjskiego zaboru, w którym wzywają, aby iść zgodnie śladami Jadwigi w poświęceniu i we wspólnej pracy, oraz od *Polek z nad Warty. Telegramy te były napisane w nader gorących słowach.* Po odegraniu hymnu narodowego, odezwały się huczne oklaski, a publiczność, powstawszy z miejsc, wtórowała orkiestrze. Po powtórnem podniesieniu kurtyny odśpiewała publiczność pieśń: „Z dymem pożarów.“ Na tem zakończyła się ta część uroczystości.

Po południu odbyły się w przepełnionych salach *szkolnych* i kilku Towarzystwach publiczne odczyty o zwycięstwie pod Grunwaldem, które wygłosili prelegenci akad. Koła Tow. „Szkoły ludowej.“

Wszędzie odczyty zakończono odśpiewaniem pieśni patryotycznych przez zebraną publiczność i rozdaniem broszury o bitwie pod Grunwaldem, wydanej staraniem komitetu obchodowego.

Po odczytach zebrała się publiczność na placu powystawowym, gdzie do zebranych włościan, młodzieży szkolnej i reszty publiczności, przemawiali akademicy na temat odbywającej się uroczystości. W odpowiedzi wygłosił krótką mowę jeden z *włościan* z gminy Sokolniki pod Lwowem. Wśród dźwięków pieśni patryotycznych rozeszli się następnie zgromadzeni w największym spokoju i porządku.

Wieczorem na wzgórzu kopca Unii Lubelskiej płonęły smolne beczki.

O pół do 8-mej wieczór odbyło się w teatrze, przy wypełnionej widowni, uroczyste przedstawienie, pojedyńczych aktów odpowiednich sztuk.

W ciągu dnia nadszedł cały szereg telegramów. Między innemi nadesłała następującą depeszę *Marya Konopnicka*:

„*Z Wami patrzę w pioruny, co krzy-*
[żactwo biły,
Chwała wielkiej przeszłości twierdzą na-
[szej siły.“

Również nadeszła depesza od grona *przemysłowców z Poznania*, dalej *czeska* od okręgowej organizacyi stronnictwa narodowo-socyalnego w Lounach, od „Besedy“ w *Pradze* itd. W obchodzie wzięło udział kilkanaście tysięcy osób. Włościanie przybyli z Sokolnik, Zborska, Grzybowca, Zniesienia, Zamarstynowa, dalej Mazurzy z kolonii w pow. żydaczowskim z Ługowcu, z Żurawna, Dołki wojniłowsklej, Łubszy i Mazurówki.

Tak *Lwów* odpowiedział na mowę *Malborską!* *K. S.*

Z TYGODNIA.

Jedyny sejm polski na obszarze Ojczyzny naszej, sejm *galicyjski*, obradujący od niespełna trzech tygodni — zakończył obrady swe w sobotę dnia 12-go b. m. W ostatnim tygodniu pracował naprawdę z siłą pary, z *gorączkowym* wprost pospiechem. Rządowi austryackiemu chodziło bowiem o to, ażeby już był zamknięty, gdy we *Lwowie* odbędą się uroczystości malborskie; obawiał się, że w przeciwnym razie opinia publiczna mogłaby zmusić członków sejmu do wzięcia udziału w uroczystościach, a to przecież podniosłoby ich powagę i znaczenie i mogłoby rozgniewać rząd prusko-niemiecki. A gniewu z tej strony obecny gabinet w Wiedniu bardzo się obawia. Polecono tedy marszałkowi, aby bez względu na dobro kraju przyspieszał załatwienie spraw.

Odbywano więc dziennie po dwa posiedzenia, „pracowano“ do pierwszej w nocy, no i „tak sobie“ uporano się z głównemi zadaniami. Słusznie atoli powiada przysłowie, że co „nagle, to po djable;“ — i ta przyspieszona praca sejmu nie przyniosła Galicyi żadnych korzyści. Uchwalono podwyższenie płac nauczycielskich, ale tak niedostateczne, że zamiast uspokoić umysły, wywołano tylko nowe oburzenie wśród nauczycieli. Równocześnie zaś konserwatywni członkowie sejmu także wrogie względem nich zajęli stanowisko, że nic dziwnego, iż nauczyciele grożą *strejkiem!* Ustanowiono dalej nowe przepisy co do biur pośredniczących w poszukiwaniu i podaży pracy robotniczej, ale nadano im taką formę, że mogą się stać wprost klęską dla kraju. Zwyciężył oto *interes* Stańczyków, pragnących mieć taniego robotnika: ograniczono wychodźtwo, chociaż w kraju niema chleba dla wszystkich.

Zemści się to srogo, a jeźli da powód do nowych zaburzeń, to odpowiedzialność za nie spadnie na Sejm. Jak ironia brzmiały wobec tego szumne frazesy mówców stańczykowskich przy obradach nad budżetem, pełne frazesów o cichej, „rozumnej“ pracy i o miłości Ojczyzny....

Ta sesya sejmowa upamiętniła się nadto jeszcze dwoma innemi smutnemi objawami, a mianowicie zaprzepaszczeniem godności narodowej przez służalczą uległość wobec Wiednia w sprawie malborskiej, no i zupełnem rozbiciem i upadkiem stronnictwa *demokratycznego*. W Galicyi powtarza się to samo, co się stało w Niemczech; wobec ogólnej korupcyi zasad i dążności, wśród ogólnej gonitwy za karyerą i złotem, demokracya upada, bierze nad nią górę interes *osobisty* jednostek. Choroba wieku ogarnęła także demokratów galicyjskich, poszli ot na służbę tych, z których ręki dostać można godność i urzędy donośne. I jak w Niemczech dzielny *Richter* coraz bardziej widzi się odosobnionym, tak i z demokracyi galicyjskiej pozostał jeden tylko poseł, nie

złamany, nieugięty, poseł krakowski, dyrektor *Rotter*. Reszta za miskę soczewicy sprzedała swe zasady.

Ale nie ma złego, któreby na dobre nie wyszło. Gdy zawiodła demokracya inteligencyi, wysuwa się na jej miejsce na pierwszy plan demokracya *ludowa*. Przywódzcą jej jest dziś poseł *Stapiński*, człowiek zdolny i wymowny. Rola, jaką odgrywał w tej sesyi ostatniej, była po prostu świetna, pełna zapału i uczciwej pracowitości. Mnożą się też głosy, które w tym pośle widzą męża przyszłości, a nawet męża opatrznościowego dla Galicyi. Czego inteligencya demokratyczna w obronie praw ludu dokonać nie zdołała, musi on sam dziś wywalczyć sobie.

W ostatniej jeszcze chwili groziło sejmowi galicyjskiemu „wszelkie niebezpieczeństwo“ w postaci *obstrukcyi Rusinów*. Wydział krajowy odebrał niesłusznie stowarzyszeniu rusińskiemu dla oświaty ludu „*Proświta*“ subwencyą krajową, za to, że podobno szerzyło książki rusofilskie, sejm zaś okazywał wielką ochotę pójść w ślady wydziału. Działacze galicyjscy nie mogą snać zrozumieć, że trzeba i Rusinom pozostawić *zupełną wolność*. Na szczęście w ostatniej jeszcze chwili usunięto to niebezpieczeństwo i sejm mógł się rozjechać przed uroczystością grunwaldzką.

Rozpisaliśmy się o sejmie galicyjskim tak obszernie, aleć to jedyny *sejm polski*!!

Po zatem nie wiele nowego stało się w świecie w ostatnim tygodniu.



Król włoski Wiktor Emanuel III.

Król *włoski* bawił w *Petersburgu* i tam zapewniał, że naród jego pragnie gorąco ścisłej przyjaźni z Rosyą. Jeźli tak przemawia jeden z kontrahentów trójprzymierza krótko po jego odnowieniu, do głowy państwa, przeciwko któremu przed laty trójprzymierze zawiązane zostało, to rzeczywiście warto się spytać, cóż ono warte?

A jednak są jeszcze państwa, które w łączności z trójprzymierzem widzą zbawienie dla siebie. Wielką ochotę przystąpienia do związku tego okazuje podobno mała *Holandya*. Ubolewać trzeba rzeczywiście nad zaślepieniem rządu państwa tego. Toć przez to formalnie wkłada głowę w paszczę lwa, wiadomo bowiem, że Niemcy oddawna już ostrzą sobie apetyt na żyżne żuławy Holandyi. A wystarcza Niemcom podać palec mały, aby wszystko zaraz uchwyciły w swe objęcia.

Na wartości przyjaźni niemieckiej poznała się dziś dobrze *Anglia*. Mimo życzliwej na pozór postawy rządu niemieckiego — nie dowierza Niemcom. Ostro też skrytykowano politykę niemiecką względem Anglii na jednem z ostatnich posiedzeń parlamentu angielskiego, tak ostro, że wywołało to gromy oburzenia w prasie państwa „ładu i dobrych obyczajów“.

Cesarz *Wilhelm* wyjechał — jak corocznie — dla zdrowia na morze północne. W przededniu wyjazdu przyjął milionera amerykańskiego *Morgana*, twórcę wielkiego trustu czyli związku okrętowego. Bawiąc zaś w porcie *Odde* w Norwegii podejmował gościnnie przebywającego tamże byłego prezesa gabinetu francuzkiego pana *Waldeck-Rousseau*. Obie te wizyty wywołały liczne komentarze i uwagi, ostatnia zaś w narodowych kołach francuzkich wielkie oburzenie. My ani w jednym, ani w drugim wypadku nie widzimy nic dziwnego. Znak to czasu naszego, że wszystko dziś kłania się wzajemnie przed siłą lub złotem. Niestety zapomina się o tem, że takie prądy zwykle w dziejach kończyły się bardzo smutno. Czy może tym razem będzie inaczej?

My — Polacy — wystrzegajmy się ulegania tym prądom. Wierzmy tylko w Boga i w *Jego* sprawiedliwość.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Głównym tematem dyskusyi prasy naszej, nietylko w zaborze pruskim, ale i w obu innych była deklaracya polskich członków poznańskiego sejmu prowincyonalnego, uzasadniająca postanowienie ich nie wzięcia udziału w powitaniu cesarza Wilhelma w gmachu Stanów prowincyonalnych. Ogromna większość prasy naszej uznała deklaracyą tę za zupełnie dobrą, właściwą i odpowiadającą położeniu naszemu, kilka jedynie organów, mianowicie w Galicyi zarzuciło jej zbytnią uniżoność i lojalną pokorę, nielicującą rzekomo z godnością narodową i patryotycznemi uczuciami naszemi. Jakkolwiek nie podzielamy bynajmniej zdania „*Kuryera Poznańskiego*“, jakoby „sprawa tej deklaracyi „*nie nadawała się wogóle do publicznego rozstrząsania*“ i chętnie przyznajemy każdemu organowi polskiemu prawo do wypowiedzenia o niej własnego zdania, bez obawy, iż „musi to osłabiać ogólny jej efekt“ — sądzimy jednakże w tym wypadku, że krytycy deklaracyi bardzo przeholowali, że nie zrozumieli przytem należycie znaczenia i charakteru tego dokumentu. Słusznie też zwróciła im krakowska „*Nowa Reforma*“ na to uwagę, że przedewszystkiem chodzi tu o sam fakt cofnięcia się od uroczystości, a nie o formę deklaracyi. Fakt ten zyskał ogólny poklask, co zaś do formy, to należy uwzględnić, że sejm *poznański* jest ciałem ściśle *prowincyonalnem*, że nie reprezentuje bynajmniej ogółu Polaków w zaborze pruskim, jedynie tę ich część, dla których cesarz niemiecki jest nie tylko władzcą Prus, ale także *Wielkim księciem poznańskim*. Z tem członkowie sejmu liczyć się musieli i stósownie do tego obrać także tenor deklaracyi. Bądź co bądź, uczuć narodowych wprost nie obrażał, pocóż więc zbyt ściśle przyczepiać się do formy, gdy główną rzeczą jest objęty nią fakt czyli czyn? Nadmienić jeszcze wypada, że po za „*Głosem Narodu*“, najostrzej napadły na tę deklaracyą pisma, jak np.: „*Słowo polskie*“ we Lwowie, *które nie zdobyły się na naganę, gdy wolny sejm galicyjski*, jedyny sejm polski, z trwogi przed gniewem Wiednia *odrzucił rezolucyą Stapińskiego w sprawie malborgskiej*, przez co dał dowód nietylko zaniedbywania obowiązków narodowych, ale wręcz wstrętnej *służalczości* wobec *niemieckich* ministrów austryackich. Chcąc zasadniczo krytykować, należy być konsekwentnym!

Obok sprawy powyższej zajmowała prasę naszą i zajmuje dziś jeszcze najbardziej kwestya *śląska*, co dowodzi, że staje się ona, dzięki Bogu, coraz aktualniejszą. Z jednym z głosów w tej sprawie rozprawiamy się na innem miejscu. Tu zaznaczymy tylko, że „*Dziennik Śląsk*“ jakby z przekąsem raczył nareszcie objaśnić ogół, iż znana Czytelnikom naszym schlebiająca Polakom deklaracya hr. *Ballestrema* nie jest czemś nowem, lecz, że daną została już przed 9 laty! Temci gorzej! Dlaczego atoli pisma niemieckie właśnie *teraz* na nowo wywlekły ją z zapomnienia, tego organ bytomski nie wyjaśnia. Słusznie też zupełnie dostała mu się ze strony „Dziennika Berl.“ następująca nauczka:

„„Dz. Slązki.“, jak widzimy, bardzo względnie dla centrum opisuje ten manewr wyborczy.

„Dowiadujemy się, że zebrania, na jakiemby obecnie odczytano stare owo oświadczenie, nie było wcale. Bardzo pięknie. Ale któż „ogłosił“ w pismach niemieckich owo ogłoszenie — teraz właśnie?

„Jeźliby je ogłosili przeciwnicy hr. B., to chyba na to, by wykazać, jakimi to środkami posługiwał się hr. B. przed laty 9, by pozyskać głosy wyborców polskich, i ażeby ostrzedz tem przypomnieniem nieświadomych jeszcze wyborców przed oddawaniem mu teraz głosów! Ale w takim razie zarazby dodano, że to stare oświadczenie!

„Widocznie więc ogłoszenie nastąpiło ze strony przyjaciół politycznych hr. Bal

lestrema, ażeby mu jednać przychylność wyborców.

„No! nie udało się tym razem. Bądźmy przygotowani na to, że nowe będą zarzucać wędki na Polaków. Może i z objazdu ks. kardynała Koppa po Śląsku austryackim i traktowania przezeń tamże języka polskiego na równi z niemieckim będą się starali centrowcy wybijać kapitał polityczny... Miejmy się na baczności.

„Że ks. kardynał Kopp mógł zmienić zdanie swe, nie przeczymy, ale my, Polacy-katolicy w Berlinie, będziemy o tem dowodnie przekonani dopiero, gdy ujrzymy zmianę postępowania wobec nas po kościołach berlińskich... I radzimy braciom w Poznaniu itd. też czekać takich dowodów.

„Bądź co bądź, nie możemy dopuścić, by centrowcy może i z takich zmian poglądu u dostojników kościoła na sprawę polską, zmian poglądu z jakich szczerze i my się cieszyć będziemy — mieli korzystać do przeprowadzania na posłów pp. Ballestremów i podobnych... Z tego nic nie będzie!“

O następującem ciekawem zajściu w Westfalii donosi bochumski „Wiarus polski“:

„Wiec polski w Kertenbergu odbył się w niedzielę staraniem „Związku Polaków“. Jak zwykle, omawiano nasze położenie pod względem religijnym, narodowym i materyalnym, rozdawano bezpłatnie elementarze i zapisywano członków do „Związku Polaków.“

„Wiecowników polskich spotkała jednak niespodzianka. Oto „Bergknappe“, organ chrześciańskiego „Gewerkvereinu“ ogłosił w ostatnim numerze, iż w niedzielę 6 lipca o godz. 11 ma się odbyć zebranie „Gewerkvereinu“ w tym samym lokalu, do którego został zwołany nasz wiec.

„I rzeczywiście chmara Niemców stawiła się i nie chciała ustąpić ze sali. Musiał im dopiero komisarz, przybyły do dozorowania wiecu, wyjaśnić, że Polacy wiec zameldowali i tylko im przysługuje prawo do odbycia go. Teraz zuchwali „Gewerkvereiniści“ zaczęli się jak nie pyszni wynosić ze sali. Część ich jednak stanęła przy wejściu do sali, a gdy Polacy zaczęli śpiewać pieśń nabożną na rozpoczęcie wiecu, stali jak drągi w czapkach na głowie, pewnie dla zadokumentowania „wyższości“ swej kultury pruskiej. Trzeba ich było dopiero wezwać, aby czapki pozdejmowali. Powoli i oni powynosili się“.

Oto buta i.... bezczelność — ale *nie polska.* *B. M.*

Głosy od przyjaciół.

Szamotuły.

Miasto nasze dorobiło się wreszcie nowego towarzystwa, którego nazwa „Deutsch-katholischer Verein.“

Założycielem tow. tego jest jeden z członków kolegium nauczycielskiego tutejszej szkoły rolniczej. Jak program pokazuje, tendencyą towarzystwa jest wzniecić ducha religijności w Niemcach katolikach — a dalej — budzić miłość i przywiązanie „zum deutschen Vaterlande.“ Założyciel miał swój cel — by zaprowadzić w tutejszej parafii większą ilość kazań niemieckich. Ale dla kogóż? Towarzystwo liczy członków około 60 — a są to osoby z całego powiatu, nie zaś jedynie z naszej parafii. Ci zaś Niemcy katolicy, którzy są w parafii, nie koniecznie w komplecie przybywają na już istniejące trzy kazania w roku, a wszystkim wiadomem nam jest, że obowiązków religijnych jakby wcale nie znali.

Wiele tu mówią o denuncyacyi na naszego Czcigodnego X. Administratora, wysłanej do regencyi poznańskiej.

Jest on katechetą przy tutejszej szkole agronomicznej w klasach wyższych. — Studenci sami przyznają, a i zacny X. katecheta nie wyprze się, że gdy uczniowie nie rozumieją, on rzecz trudną do zrozumienia tłomaczy w języku polskim, choć każdy poświadczy, że czyni to w słowach krótkich. — Oczywiście, że jako członek kolegium nauczycielskiego dostał z tego powodu napomnienie, ale zapewne dał też godną odpowiedź. Rzeczą jednak jest pewną, że, aby nie było niebezpieczeństwa, zostanie Przezacny X. katecheta z zajmowanego stanowiska usunięty, a jego miejsce zechce może władza obsadzić nauczycielem świeckim. Rodzice uczniów tejże szkoły niech już naprzód wiedzą o grożącem niebezpieczeństwie. Sądzę, że apelować do nich nie potrzeba, bo są to ludzie, którzy swe obowiązki znają, i w razie potrzeby godnie potrafią czoło stawić złemu.

Zrozumiałą to dla każdego jest rzeczą, że nauczyciel świecki nie zdoła należycie w wyższych klasach zakładu wyłożyć nauki religii, zwłaszcza jeżeli u niego przyłączy się trudność w praktykowaniu tych zasad. Jeżeli to ostatnie zachodzi, to wprost zgubny wpływ wywarłby taki katecheta.

Władza duchowna na pewno nie udzieli misyi kanonicznej nauczycielowi, ale Wysoka Rada szkolna, nie potrzebuje dziś już pytać władz dyecezyalnych o to, ona sama jej udzieli.

Baczność więc!!!

Szczęsny Leńko.

* * *

Z Kępna.

(Impertynencya żydka i jego zachcianka pangermańska.)

Przechadzając się w piątek pod wieczorem w towarzystwie pewnego pana spacerem około rynku, zauważyłem, że pewna gromadka żydków także spacerujących za każdem spotkaniem naszem z dziwną zuchwałością w oczy nam z naciskiem jakimś wykrzykiwała: „*wir* sind echte Deutsche!“ Nie zważaliśmy początkowo zbyt na to, nie zazdroszcząc wcale Germanii tych bohaterów, przeciwnie bawił nas nawet sposób objawiania patryotyzmu żydowskiego. Niebawem jednakowoż zrozumieliśmy właściwy cel ich zachowania się. Przy następnem bowiem spotkaniu z gromadki występuje ku nam pewien najmniejszy — ledwie 3 razy 10 cali duży — rudowłosy szajgec i z godną podziwienia dobitnością krzyczy: „wir sind in Deutschland, hier wird *deutsch* gesprochen!“ Zdumiałem odrobinę sekundy, lecz następnie odmalowała się po prawej i lewej stronie gęby krzewiciela wysokiej kultury cała mapa zjednoczonych Niemiec. Wielki wszczął się harmider i traktowany zuchwalec udał się niebawem w sposób nader rycerski pod skrzydła macierzyńskiej opieki. —

Zaiste! „jung Deutschland promienieje!“ Jeżeli smarkacze już uprawiają tak śmiałą politykę z nami, to w każdym razie mogą być Niemcy dumni na ich „innere Stärke.“

Zgorszył się więc żydziak dźwiękiem pięknej mowy naszej — żydziak, który zresztą nosi polskie chociaż już skaleczone nazwisko — i to spowodowało go do tak energicznego wystąpienia. —

Naszym gimnazyastom w tym kraju równouprawnienia nie wolno czytać bezkarnie historyi i literatury ojczystej, ba! nawet mówić pacierza, jak im dziób urósł. Lecz jestem przekonany, gdybym pomówił z dyrektorem gimnazyum o wielce wzorowem zachowaniu się na ulicy uczniaka kwartanera, tenże nie dostałby nagany, lecz pewnie nawet medal skórzany. —

Żydek jest synem właściciela składu kolonialnego, istniejącego i zamożnego z naszych groszy. —

Polak.

* * *

Berlin.

Obchód ku uczczeniu srebrnego jubileuszu Ojca św. Leona XIII, urządzony staraniem Tow. Katolickich Robotników Polskich w Berlinie, odbył się w niedzielę, dnia 22 czerwca r. b. Obchód rozpoczął się uroczystem nabożeństwem w kościele św. Piusa przy Pallisadenstr. nr. 73, zakupionem przez Tow. Rob. Podczas nabożeństwa asystowało 12 chorągwi zaproszonych Towarzystw Berlina i okolicy.

Po południu o godz. 4 rozpoczął się koncert w ogrodzie Leo Hospiz przy Rüdersdorferstr. 45, gdzie utwory koncertowe wykonano starannie w motywach swojskich.

O godz. 7 wieczorem zagaił uroczystość jubileuszową prezes Tow. Katol. Rob. Polskich p. Moczyński na wielkiej sali, mieszczącej około 3000 osób, a szczelnie zapełnionej słowy: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“

Powitawszy życzliwych obchodowi gości, objaśnił zgromadzonym cel uroczystości.

Następnie odpowiednio do programu wygłosił pan Sitarski prolog. Po odśpiewaniu pięknej kantaty jubileuszowej przez chór mięszany śpiewaków wyżej wymienionego Towarzystwa, ksiądz dr. Stefan wygłosił mowę uroczystościową.

Czcigodny mówca przedstawił nam działalność Ojca św. i błogie rządy jego jako panującego Papieża. Mowę swą zakończył ks. dr. S. okrzykiem wzniesionym na cześć Ojca św., który zebrani gromko powtórzyli.

Następne numery programu wypełniły śpiewy i deklamacye, które nagradzano hucznemi, burzliwemi oklaskami. Poczem mówił robotnik Grzelachowski. Mówca wyszczególnił zasługi Ojca św., jako opiekuna i obrońcy ludu robotniczego. Mówca zakończył przemówienie swe słowy Ojca św.: „Serce moje rwie się do całej Polski!“

Zebrani po tych słowach wznieśli entuzyastyczne okrzyki na cześć Ojca św.

W końcu odczytał ks. dr. Stefan telegram hołdu, wysłany do Ojca św., na

który nadeszła następująca odpowiedź: „Robotnikom Polakom w Berlinie oraz całej kolonii polskiej Ojciec św. dziękuje za znak przywiązania i miłościwie udziela im apostolskiego błogosławieństwa. Kard. Rampolla.“

Po odśpiewaniu pieśni „Rzym“, zabrał głos prezes p. Moczyński. W imieniu Tow. Kat. Rob. Polskich dziękując Towarzystwom za przysłanie sztandarów, których było na sali 9, jako i wszystkim uczestnikom za liczne przybycie, odczytał telegramy na obchód nadesłane, a po przedstawieniu żywych obrazów zamknął uroczystość jubileuszową o godz. 11 wiecz.

Wzniosła ta uroczystość pozostanie robotnikom polskim w Berlinie jako też całej kolonii polskiej udział w niej biorącej długo w pamięci.

Jeden z uczestników.

* * *

St. Mateusz — Parana — Brazylia.

(Obchód 111-tej rocznicy Konstytucyi 3-go Maja.)

W dniu 3 go maja rb. istniejące tutaj trzy Tow. polskie wczesnym rankiem zebrały się w lokalu Tow. im. Kazimierza Pułaskiego, zkąd razem pochodem z godłami i sztandarami narodowemi ruszyły ku kościołowi, towarzyszyła pochodowi dziatwa szkolna.

O godz. 9½ z rana odbyło się w kościele miejscowym uroczyste nabożeństwo, które odprawił wiel. ks. Smołucha; po ukończeniu mszy czcigodny ten kapłan w przemowie gorącej od ołtarza tchnął w nasze zbolałe serca nadzieję przyszłości i pobudzał do miłości Ojczyzny, tłomacząc, jak wielką uroczystością jest ten dzień dla nas Polaków. Potem odśpiewano suplikacye. Po nabożeństwie ruszono do sali Tow. K. Pułaskiego, gdzie nastąpił obchód narodowy.

Przew. tegoż Tow. p. W. Hetka przywitał zgromadzonych i wytłomaczył im cel zebrania. Następnie członek Al. Nodolny w wypowiedzianej mowie historycznej o konstytucyi 3-go maja zapoznał zebranych z tym pięknym dla narodu naszego doniosłym faktem, zaszczytnie jaśniejącym na stronach dziejów naszych. Dalej nastąpiły piękne wiersze patryotyczne, wygłoszone przez dziatwę szkolną, i śpiewy choralne narodowe: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ i „Boże Ojcze“.

Mowę o szkole wygłosił czł. J, Sowicki, poczem wygłosili mowy członkowie z Tow. im. St. Staszyca i B. Głowackiego. Pan Al. Grobowski wygłosił mowę z historyi polskiej.

Poważną i piękną uroczystość zakończyła mowa przew, Tow. Pułaskiego który w imieniu Tow. złożył serdeczne podziękowanie wszystkim Rodakom zachęcając o ile sił do popierania szkół i mowy ojczystej.

W imieniu Tow. i wszystkich Rodaków za bezinteresownie odprawienie nabożeństwa składamy Czcigodnemu ks. W. Smołusze serdeczne staropolskie „Bóg zapłać.“

Tow. Narodowo-Polskie im. K. Puławskiego w St. Mateusz —Parana— Brazylia.

Prezes. Sekretarz.

W. Hetka. Grembecki.

Kronika.

Nie do smaku przypadło Niemcom oświadczenie polskich członków sejmu prowincyjalnego. Słychać, że „dostojne“ figury rządowe starały się wpłynąć na pewne koła polskie, ażeby nie usuwały się zupełnie od udziału w uroczystościach cesarskich, a jeden z najwyższych przedstawicieli rządu pruskiego w naszej dzielnicy próbował podobno nawet złudzić kilku wybitniejszych obywateli polskich obietnicami i cacankami, byle ich do uczestnictwa w przyjęciu monarchy pozyskać.

Czy to prawda — niewiadomo. Dość, że sobie tak w Poznaniu szepcą, wiążąc z powyższą pogłoską czy plotką treść ogłoszonego w „Dzienniku“ listu nestora obywatelstwa p. Morawskiego z Kotowiecka, w którym tenże ostro wyrzuca p. szambelanowi Morawskiemu z Luboni, że się zadaje w jakieś pokątne konszachty czy targi z ministerstwem.

Bliższych objaśnień, co spowodowało sędziwego patryotę do gorzkich wyrzutów, „Dziennik“ nie udzielił, a zaciekawiona brzmieniem publiczność pyta ciekawie, „co to ma znaczyć.“

Nie tylko atoli publiczność, lecz także organ, który powszechnie uważano dotąd za najbliższy panu szambelanowi z Luboni, i zagaduje żąda, jakby w równej niewiadomości, wyjaśnień od „Dziennika“. Złośliwi spostrzegacze uważają całą tę grę za komedją i powiadają sobie tak: „Dziennik“ stanął w obronie ugodowości p. J. Kościelskiego, „Kurjer“ ugodowość tę zaczepił. Nastąpił niebawem odwet. „Kurjer“ nie sprzeciwia się zapewne ugodowym próbom p. szambelana Morawskiego, swego bliskiego przyjaciela, a pamiętając o rewanżu machnął teraz na niego „Dziennik Pozn.“ A jakkolwiek „Kuryer Pozn.“ bezpośrednio po ogłoszeniu listu sędziwego nestora przeciwko krewnemu szambelanowi z Luboni zaznaczył, iż tenże p. szambelan jest właśnie „Dziennikowi“ bliski, to jednak owi złośliwi poczytują za prosty figiel dziennikarski i mówią sobie, że pomiędzy „Dziennikiem“ a Kuryerem“ niema właściwie żadnej różnicy kierunku, a zachodzi jedynie różnica — osób i interesów. Tak sobie tu szepcą i gwarzą, czekając na wyjaśnienie ciekawego zatargu, a osobliwie tej kwestyi czy istotnie „niektórzy“ znamienitsi obywatele łamią sobie jeszcze głowy nad ewentualnem uczestnictwem w uroczystościach wrześniowych i w patryotyczno-pruskich demonstracyach.

O wiele krócej i prościej załatwili się podobno z tą sprawą przedstawiciele monarchii sąsiednich, Rosyi i Austryi, następcy tronów austryackiego i rosyjskiego. Otóż jak wiadomo uroczyste odsłonięcie pomnika naznaczono na drugi dzień pobytu cesarza w Poznaniu. Na tych uroczystych ceremoniach specyalnie pruskiego znaczenia, książęta obcej krwi nie pozostaną. Przybędą podobno na dzień pierwszy a wieczorem Poznań opuszczą. Tak więc pompatycznemu odsłonięciu pomnika zabraknie prawdopodobnie pożądanej wspaniałości uczestnictwa zagranicznych książąt.

Nie zabraknie natomiast funkcyonaryuszów porządku. Policya wciąż się wzmacnia; świeżo przybyło do Poznania 150 policyantów. Tajna służba coraz raźniej się krząta, a dzięki temu już podobno kilka śledztw i procesów o — obrazę majestatu.

Alius.

Ku uczczeniu pamięci Wielkiego „Pogromcy Krzyżaków“ pod Grunwaldem dołączamy do dzisiejszego numeru „Pracy“ kartę korespondencyjną z podobizną króla Władysława Jagiełły, aby jednocześnie przypomnieć rocznicę wiekopomnego zwycięztwa ze świetnej przeszłości Polski kwitnącej w okresieJagiellońskim, Polski pełnej potęgi, chwały i blasku.

Prócz illustrowanych szkiców historycznych o Jadwidze i Jagielle podane są między innemi opisy obchodu bitwy grunwaldzkiej itd. itd. z pięknym portretem albumowym króla Władysława Jagiełły.

Czytelnicy! *Wysyłajcie dołączone karty do krewnych, przyjaciół i znajomych* **z gorącą zachętą do licznego zaabonowania „Pracy“, starajcie się gorliwie i szczerze o nowych abonentów i przysparzajcie nam świeże szeregi szermierzy w tak pamiętnej dla nas chwili.**

Niech jak najliczniejsze zastępy Czytelników gromadzą się pod sztandarem „Pracy“, gdyż wspólna moc tylko zdoła nas ocalić.

Kto z nowych abonentów życzy sobie mieć początki drukujących się powieści „Męczennica w koronie“ i „Żywcem pogrzebany“, niech nam nadeśle na dowód, że zapisał sobie „Pracę“, kwit pocztowy abonamentowy z dołączeniem 20 fenygów w znaczkach pocztowych, gdyż tylko pod tym warunkiem początki powieści wysyłamy.

Każdy ze starych abonentów, który zjedna nowego abonenta, otrzyma jako

premium

piękną książkę powieściową, **jeżeli nam nadeśle na dowód własny kwit abonamentowy pocztowy, oraz kwit zjednanego abonenta.**





Jadwiga.

1384—1386.

Władysław Jagiełło.

1386—1434.

(Do illustracyi.)

Przyjazd do Polski. Wilhelm. Jagiełło.

Długo musieli czekać wierni ugodzie koszyckiej Polacy, na przyjazd przyszłej swej królowej. Po dwuletniej niemal zwłoce, w czasie której Nałęczowie chcieli na tron wprowadzić Ziemowita mazowieckiego, przybyła nareszcie do Krakowa, otoczona pocztem dworzan, pod przewodnictwem kardynała i biskupa, młoda i piękna Jadwiga. Dnia 15-go października 1384 r. ukoronowaną została przez arcybiskupa Bodzantę. Jadwiga w dzieciństwie jeszcze była zaręczoną Wilhelmowi, księciu rakuskiemu, który też wkrótce przybył w zamiarze zaślubienia młodej królowej. Tymczasem ośmielony przez panów małopolskich, przysłał do Krakowa świetne poselstwo Jagiełło, Wielki książę litewski, w celu starania się o rękę młodej monarchini. Jadwiga, choć sprzyjała Wilhelmowi, uproszona przez panów polskich, uczyniła ofiarę ze swych uczuć dla dobra kraju i wiary. Jagiełło obiecywał połączyć na zawsze dwa ościenne narody i przyjąć chrzest wraz z Litwą.

Litwini.

Litwini, sąsiadujące ze Słowianami, ale odrębne plemie, pogrążeni w pogaństwie, nieustanne prowadzili boje z Krzyżakami i sąsiednią Rusią. Oprócz Mendoga, który chwilowo chrześcijaństwo przyjął, odznaczyli się Lutawor, Witenes, a zwłaszcza dzielny Gedymin, który rozpostarł swą władzę nad wieloma miastami ruskiemi, jak Witebsk, Połock, Nowogród, Włodzimierz, a przymierzem złączył się z Łokietkiem. Po jego śmierci dzielili władzę synowie: Olgierd książę litewski w Wilnie, i Kiejstut ks. żmudzki w Trokach. Ci dwaj książęta mężny stawiali opór Krzyżakom, a Tatarom klęskę zadali pod Sinemi-wodami.

Olgierd zagarnął też Podole i oddał je bratu Koryatowi. Krzyżacy, którzy łupili i najeżdżali ziemie Litwinów, zamiast nakłaniać ich do przyjęcia wiary chrześcijańskiej, odstręczali ich do przyjęcia tejże. Olgierd, żeniąc się z księżniczką ruską, przyjął chrzest z rąk biskupa greckiego. Książę ten pozostawił dwunastu synów. Jagiełło, szósty z kolei, a najstarszy z drugiej żony, objął tron wielkoksiążęcy.

Państwo litewskie rozciągało się od Baltyku do brzegów morza Czarnego, zagrażała mu jednak potęga krzyżacka i Tatarzy, trapiły niezgody wewnętrzne, podżegane przez Zakon. Jagiełło toczył boje o najwyższą władzę ze stryjem swoim, Kiejstutem, który, pojmany przez Jagiełłę, w więzieniu życia dokonał. Następnie syn Kiejstuta, Witołd, szukał przymierza z Krzyżakami przeciw Jagielle, jednakże w r. 1384 pogodził się z nim i ziemie Zakonu spustoszył.

Wkrótce potem Jagiełło, wyprawiwszy poselstwo do Polski z prośbą o rękę młodej królowej, i otrzymawszy odpowiedź zadawalającą, udał się do Krakowa, gdzie 12 lutego 1386 r, odprawił wspaniały wjazd wraz z braćmi swymi: Korygiełłą, Wigundem, Swidrygiełłą i Witołdem. W kilka dni potem przyjął chrzest, na którym nadano mu imię Władysława, poślubił Jadwigę i koronowany został uroczyście.

Chrzest Litwy. Zatargi z Witołdem. — Smierć Jadwigi.

Przywróciwszy porządek w Wielkopolsce i pojednawszy stronnictwa i zwaśnione rody Grzymalitów i Nałęczów, — do czego dzielnie dopomogła Jadwiga, udał się Jagiełło na Litwę z licznym orszakiem duchowieństwa, książąt i panów polskich.

Zniszczono bóstwa pogańskie, wyrąbano poświęcone gaje, zachęceni przykładem książęcym, zniewoleni rozkazem, Litwini tłumnie do chrztu się cisnęli. Jagiełło porównał bojarów litewskich z panami polskimi i od uciążliwych powinności i danin ich uwolnił (1387).

Tymczasem Jadwiga, godna wnuczka mężnego Łokietka, stanęła na czele rycerstwa polskiego, udając się na Ruś Czerwoną, w celu odebrania jej Węgrom. Wszystkie grody dobrowolnie otworzyły swe bramy i przyjęły młodą królowę gościnnie. Oparł się tylko Halicz, lecz i ten wkrótce ustąpić musiał Jagielle, przybywającemu z Litwy z wojskiem.

Wielkorządztwo Rusi król powierzył Jaśkowi z Tarnowa, ziemię bełzką oddał Ziemowitowi ks. mazowieckiemu, Łuck Witołdowi. Wojewoda multański przybył do Lwowa i hołd królestwu złożył..

Jagiełło, opuszczając Litwę, zostawił ją pod rządem brata swego Skirgiełły. Obrażony tem Witołd, najzdolniejszy, najbardziej oświecony ze wszystkich książąt litewskich, zwrócił się znów do Krzyżaków, którzy też Litwę najechali i Wilno oblegli. Bronił go mężnie Klemens z Moskorzewa. Król pośpieszył na pomoc, Krzyżaków odparł, niedołężnego Skirgiłłę od rządów usunął i pogodziwszy się z Witołdem, mianował go wielkim księciem litewskim, przez co odwiódł go od przymierza z Krzyżakami.

W roku 1399 zakończyła świętobliwy żywot królowa Jadwiga, zamykając w swej osobie ród Piastów na tronie polskim, gdyż nie zostawiła potomka. Jedyna córka, którą na świat wydała, jednocześnie z nią żyć przestała.

Przeczuwając zgon swój, Jadwiga, jak matka dbająca o dobro swych dzieci, radziła mężowi, aby po jej śmierci pojął za żonę Annę hr. Cylejską, wnuczkę Kazimierza W., chcąc tym sposobem utrwalić i nadal związek Polski z Litwą.

Jadwiga należy do najpiękniejszych postaci niewieścich naszej historyi. Oddając rękę niemłodemu i nieco dzikie-

mu księciu litewskiemu, poświęciła własne szczęście dla pomyślności dwóch narodów, które, połączone nierozerwalnym węzłem, stały się odtąd potężnem państwem. Szorstki Jagiełło obawą ją przejmował, nieraz podejrzeniami dręczył; królowa szukała ulgi w modlitwie, w dobrych uczynkach, w życiu bogobojnem. Wspierała biednych, stawiała kościoły. Ona to założyła kolegium duchowne przy akademii w Pradze dla 12-tu młodzieńców litewskich, poświęcających się nauce teologii, a wyjednawszy pozwolenie u papieża Bonifacego XI-go na uzupełnienie akademii krakowskiej fakultetem teologicznym, wszystkie swe klejnoty zapisała na powiększenie i uposażenie tego przybytku wiedzy.

Spełniając wolę zmarłej królowej Jadwigi, Jagiełło przeniósł akademię z przedmieścia Bawoł do Krakowa do nowo zbudowanych okazałych gmachów i uposażywszy ją hojnie, otworzył roku 1400. Odtąd wszechnica jagiellońska zajmowała przez długi czas jedno z celniejszych miejsc pomiędzy innemi akademiami europejskiemi.

Klęska nad Worsklą. Unia polsko-litewska.

Witołd nie długo siedział spokojnie na Litwie. Marząc o zagarnięciu całej Europy wschodniej i utworzeniu z niej dziedzicznego dla siebie państwa, zajął Smoleńsk, Psków, Nowogród, wreszcie ułożywszy się z Krzyżakami i Żmudź im oddawszy, wdał się w wojnę z Tatarami. Straszliwa klęska nad Worsklą (1399) położyła kres jego zamiarom. Złamany, powrócił do Krakowa, szukając ratunku u Jagiełły. Jadwigę zastał już w grobie.

Jagiełło tym razem nie zadowolił się zapewnieniami Witołda, lecz zwołał do Wilna (1401) zjazd panów polskich i bojarów litewskich, którzy uroczyście spisali akt, mocą którego związek Litwy z Polską stawał się nierozerwalnym, nawet w razie śmierci Jagiełły i Witołda.

Wojna z Krzyżakami. Bitwa pod Grunwaldem.

Krzyżacy, widząc wzrastającą potęgę państwa ościennego i nie mogąc podstępnem knowaniem zapobiedz unii, niszczyli swemi napadami Litwę i zabierali lud w niewolę. Za pośrednictwem papieża stanęła ugoda w Raciążu, mająca też na względzie zwrot ziemi dobrzyńskiej, którą Zakon zobowiązał się oddać za sumę 28,000 grzywień. Jagiełło, nie będąc w stanie tak znacznej sumy wypłacić, zwołał dostojników świeckich i duchownych, oraz szlachtę do Nowego-Miasta Korczyna, na sejm, poprzedzony innemi sejmikami we wszystkich ziemiach państwa, na których uchwalono podatek od łanu, byle tylko Dobrzyń z rąk krzyżackich wydobyć. Był to pierwszy formalny sejm w Polsce, zwołany na żądanie króla, który tym sposobem stawał się zależnym od narodu (1404).

Pomimo zawartego pokoju, Krzyżacy nie przestawali niepokoić granic Polski, a zachowanie się W. mistrza było wyzywające.

Witołd, zebrawszy rycerstwo na Żmudzi, wystąpił pierwszy do walki, a Jagiełło oświadczył Krzyżakom, że go będzie popierał.

Pomimo usiłowań zgody ze strony papieża i króla czeskiego, Wacława, stronnika Zakonu, gotowano się do walki, do której wystąpiło całe rycerstwo polskie i litewskie wraz z Tatarami.

Na polach między Grunwaldem a Tannenbergiem dnia 15 lipca 1410 r. przyszło do wielkiej bitwy, w której 50-tysięczna armia Jagiełły i Witołda świetne odniosła zwycięstwo. Gdy przed rozpoczęciem walki Jagiełło modlił się w swoim obozie, wielki mistrz zakonu krzyżackiego, Ulryk von Jungingen, przez szyderstwo przysłał mu dwa miecze. Jagiełło przyjął je i odpowiedział heroldom niemieckim, iż pomocy szuka jedynie u Boga. Gdy zawrzała bitwa, Krzyżacy chwilowo mieli przewagę, wkrótce jednak Witołd, prawdziwy dnia tego bohater, rozstrzygnął walkę, zadając stanowczą klęskę nieprzyjacielowi. Poległ wielki mistrz i ośmnaście tysięcy Krzyżaków, a 30000 dostało się w niewolę.

Wielka ta wygrana nie dała Polsce dostatecznych korzyści, złamała jednak potęgę krzyżacką, upokorzyła ich dumę i zapewniła pokój z tej strony. Krzyżacy ustąpili z ziemi dobrzyńskiej i zobowiązali się zapłacić 100,000 kóp groszy.

Zawarł też Władysław pokój z cesarzem Zygmuntem Luksemburskim, który wtargnął do Polski w czasie tej wojny z Krzyżakami. Zygmunt zwrócił insygnia koronne, zabrane do Węgier jeszcze za Ludwika, i za 40,000 kóp groszy praskich oddał w zastaw piętnaście miast spiskich, które zostały przy Polsce pod nazwą starostwa spiskiego.

Zjazd w Horodle. Plany Witolda i Świdrygiełły. Śmierć Jagiełły

Jagiełło i Witołd, w celu większego utrwalenia spójni Litwy z Polską, zwołali zjazd do Horodła, gdzie 10 paźdz. 1413 r. spisanym aktem stwierdzono braterstwo i nierozerwalny związek dwóch narodów, oparty na wzajemnej miłości i zaufaniu. Zrównano też w prawach panów litewskich z polskimi i przypuszczono wielu bojarów litewskich do herbów szlachty polskiej.

Krzyżacy, lubo pokonani i osłabieni, nie przestawali intrygować z cesarzem Zygmuntem przeciw Polsce i Litwie. Hussyci czescy, nie chcąc uznać Zygmunta swym królem, ofiarowali koronę Jagielle, który nie przyjął jej, lecz pozwolił Witołdowi starać się o nią przez brata Korybuta. Gdy jednak nastąpił pokój z Krzyżakami, którzy zrzekli się na wieczne czasy praw do Żmudzi, zatrzymując Pomorze i chełmińską ziemię, Jagiełło odnowił przymierze z Zygmuntem i Korybutowi z Czech ustąpić kazał.

Witołd, wielki zarówno wojownik jako też organizator, wyższy umysłem od wszystkich książąt litewskich, zajmował przez czas długi tron wielkoksiążęcy, mając nadzieję, iż z czasem uwieńczy swe skronie koroną polską. Tymczasem Jagiełło już w późnej starości doczekał się potomstwa z czwartej żony Zofii i zapewnił następstwo starszemu synowi, Władysławowi. Witołd podżegany przez Krzyżaków, rozjątrzony przytem zatargami Polaków z Litwinami o Podole, oraz pełen żalu do duchowieństwa, które z Oleśnickim na czele przeszkodziło mu w uzyskaniu korony czeskiej, postanowił starać się o tytuł króla litewskiego. Jagiełło i panowie zezwolić na to nie chcieli, a Oleśnicki wyrzucał mu zdradę. Wtedy Witołd odstąpił od swych zamiarów i pojednał się z bratem. Wkrótce potem dokonał życia ten wielki bohater Litwy, r. 1430.

Po śmierci Witołda z pretensyami do wielkiego księstwa litewskiego, wystąpił brat Jagiełły, Świdrygiełło i zawarł sojusz z Krzyżakami, lecz kilkakrotnie pobity, nie dopiął swych celów. Wielkim księciem został Zygmunt Kiejstutowicz, brat Witołda, uznany na tem stanowisku przez Jagiełłę.

Jeszcze po śmierci Jagiełły Świdrygiełło wichrzył, lecz pobity został na głowę wraz z Krzyżakami pod Wiłkomierzem nad rzeką Świętą (1435).

Władysław Jagiełło zmarł, licząc przeszło 80 lat wieku, zaziębiwszy się, słuchając śpiewu słowików w Gródku, 1 czerwca r. 1432.

Żony miał cztery: Jadwigę ks. węgierską, Annę hr. Cylei, Elżbietę z Pileckich Granowską i Zofię księżniczkę ruską. Pozostawił dwóch synów: Władysława i Kazimierza.

Król ten, nie posiadając genialnego umysłu, jakim odznaczał się Kazimierz W., opierał się po większej części na zdaniu możnych panów, którzy pod jego rządem do wielkiego doszli znaczenia; szlachta zaś, która stanowiła obronę kraju, nieraz musiała cierpieć ucisk

i biedę. Tenczyńscy, Tarnowscy, Kurozwęscy, Melsztyńscy, Kmitowie, Oleśniccy, nabrali wielkiego politycznego znaczenia. Oni to gromadzili olbrzymie fortuny, stawiali zamki, dzierżyli urzędy świeckie i kościelne; przyznać jednak należy, iż stojąc u steru rządu, szczerze swemi skarbami w potrzebie szafowali, gdy szło o wystawienie zbroj-



Jadwiga,

córka Ludwika, króla Węgierskiego i Polskiego, i Elżbiety Bośniaczki.

1384—1399.

Urodz. 1372. Koronacya na królowę Polski (1384). Chrzest Jagiełły (15 lutego 1386). Chrzest Litwy (1387). Wyprawa Jadwigi na Ruś (1837). Zgon Jadwigi (17 lipca 1399.)

nych hufców i warowni, lub o podjęcie kosztownego poselstwa, albo trudnej sprawy dyplomatycznej. Nie brakło też w owe czasy ludzi wysokiej nauki, szerokich poglądów, do czego wiele przyczyniła się wszechnica jagiellońska. Uczeni przewodnicy kościoła polskiego zjednali sobie zasłużoną sławę na soborze w Konstancyi r. 1414, zwołanym przeciw nauce Hussa i sporom papieży. Posłom polskim przewodniczył Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński. Nad usunięciem rozdwojenia papieży pracował Andrzej Laskary z Gosławic, a Paweł z Włodkowic wymownie przemawiał przeciw Zakonowi i uzyskał dekret soboru, potępiający krzyżacki sposób nawracania orężem pogańskich Słowian i Litwinów.

Ruch narodowy husycki w Czechach, skierowany przeciwko Niemcom, znajdował odgłos i w Polsce. Wystąpiło przeciw niemu duchowieństwo ze Zbigniewem Oleśnickim, biskupem krakowskim i kanclerzem. Oleśnicki, który pod Grunwaldem ocalił życie Jagielle, miał silny wpływ na umysł króla. On to odwiódł go od przyjęcia korony czeskiej, uważając, iż Polska opierać się powinna na katolicyzmie, który ją zbliżał do państw zachodnich i do Rzymu. On też silną dłonią postawił tamę szerzeniu się nauki Hussa.

Szlachta w tymże czasie uzyskała przywilej nietykalności osoby, to znaczy, iż bez wyroku sądowego nie wolno było szlachcica uwięzić, chyba, że został schwytany na uczynku zbrodni pospolitej. *W. Tyszka.*

Rocznica zwycięztwa.

Wspomnieć ma dziś naród polski na wielkie swoje zwycięztwo, na swoją przed wiekami niespożytą moc, niezaćmioną chwałę, a — cześć oddając kościom poległym na polach Grunwaldu i krwi przelanej w imię wielkiej sprawy — podnieść swego ducha. Niech więc staną przed nami w całym majestacie potęgi w stal zakute lechickie zastępy i groźne Witołdowe watahy i niech nas nie oślepi blask od zbroic bijący, nie przygniecie do ziemi pieśń jak morze ogromna, a tak pełna wiary wytrwania i miłości, ale niech każdy Polak, czy na ojczystej ziemi tkwiący, czy gdzieś na obczyźnie sto mil od kraju swego zabłąkany, czy starzec, czy chłop, czy pacholę, potomkiem zwycięzców i takim na zawsze mocno, a rozumnie pozostać zapragnie...

Na polach Grunwaldu i Tannenbergu w śmiertelnych zapasach spotkać się miały, gdy nadszedł dzień 15 lipca 1410 roku, nie dwa wojska tylko — dwa narody lub plemiona, ale dwa różne światy, dwie przeciwne wrogie so-



Mikołaj Trąba,

arcybiskup gnieźnieński.

bie moce. Z jednej strony szli strojnie i pysznie rycerze krzyżowi. Zwołaniem ich stało się: „Chrzczę cię mieczem". Pochód ich znaczyła:

„...rzeź, grabież, pożoga
„I blask, co głupie rozwesela zgraje".

Jak krwawa zaraza na polskie, pruskie i litewskie sioła spadali, niosąc z sobą śmierć, albo też gorszą od śmierci niewolę. Chrześciaństwem pysznili się swojem i krzyż na piersiach nosili, ale nie już miłości, ale nawet miłosierdzia chrześciańskiego w duszach swych nie mieli, jeno pychę szatańską miast chrześciańskiej pokory zakonników. Na darowanej albo zrabowanej ziemi, na krzywdzie i kłamstwie wznieśli swoje państwo i umocnili je warownymi grodami, pobudowanymi rękoma pojmanych niewolników, na zgliszczach popalonych wsi. Było zaś to państwo, jak się zdało z wierzchu, państwem dziwnego „ładu i bojaźni Bożej", ale w środku gniło



Władysław Jagiełło.

syn Olgierda, wiel. ks. litewskiego, i Juliany, ks. twerskiej.

1386—1434

Chrzest i koronacya w Krakowie (1386) Wojna z Krzyżakami. Bitwa pod Grunwaldem (15 lipca 1410). Unia horodelska (1413). Witołd i Świdrygiełło. Śmierć Jagiełły (1 czerwca 1434.)

Żony: 1) Jadwiga, 2) Anna Cylejska, 3), Elżbieta Granowska, 3) Zofia, ks. Ruska.

srodze pychą, chciwością i opilstwem i pogwałceniem ślubów zakonnych. Aż „przyszedł czas, że wyłamane zostały ich zęby i ucięta ręka prawa", aż wezbrana fala germańskiej przemocy rozbiła się i cofnęła od piersi polskich zastępów.

Nie przyszła zaś Polska i Litwa pod Grunwald dla zdobyczy, aby rozległe swoje powiększać dzierżawy, albo władcy swego pysze pochlebić, ale, aby wspólną obroną granic ziem swoich, krwią w wojnie przeciwko największemu swemu wrogowi wylaną umocnić i przypieczętować świeże, ale wieki trwać mające braterstwo w złej i dobrej doli. Więc z starych ziem piastowskich, z Wielko i Małopolski, z lennego Mazowsza, rojnie a ochoczo wyruszyło rycerstwo, kmiecie i pachołki. Nie brakło też rycerzy z ziem, przemyskiej, lwowskiej, halickiej i podolskiej, które przynależność swą do Polski przez wystawione chorągwie dobitnie zaznaczyły.

A w Witołdowych znów, litewskich wojskach obok rodowitych Litwinów, Tatarów i Wołoszy, ruscy bojarowie i książątka, okryte oddziały hołdownicze wystawili, aby w wielkiej z Krzyżactwem wojnie, obok Polaków i Litwinów walcząc, nieśmiertelną sławę zwycięzców zyskać i wielkiego Słowiańszczyzny

wroga pognębić. Aż liczne te ludy z dalekiego wschodu i południa, poczuciem doznanych krzywd i słuszności sprawy mocne, stanęły na polach Grunwaldu w oczekiwaniu wielkiej chwili, nieodwołanego między stronami „sądu Bożego.“ Przyszedł straszny dzień sądu. Po kilkogodzinnym morderczym, niepamiętnym boju, legł przeniewierczy Zakon, a z nim cała niemiecka potęga u stóp polskiego króla. Chrztem Litwy rozpoczęte dzieło cywilizacyi wschodu miała teraz Polska dalej bezpiecznie prowadzić i nieść do krain ucisku i ciemnoty oświatę zachodu i swoje obywatelskie wolności — stać się Italią północy i przedmurzem chrześciańsiwa.

Tak przed wiekami przodkowie nasi jednym bojem skruszyli moc najeźdźców. A dziś co?

Na wielkim przez ziemie pruskie, poznańskie i śląskie rozpostartem polu walki darmo dziś szukać okiem rozumnych w radzie i rządzie a niezwalczonych w boju panów polskich — tych Zyndramów z Maszkowic, Krystynów z Ostrowa, Jaśków z Tarnowa, Szafrańców i tylu, tylu innych. I witeziów owych sławnych, co to imię polskiej waleczności i rycerskich cnót po całym roznosili świecie, takich jak ów Zawisza Czarny, Sulimczyk i brat jego Farurej i Skarbek Abdank z Gór i Dobek z Oleśnicy, Powała z Taczewa, Lis z Targowiska i tych wszystkich, których bohaterskie czyny zapisały dzieje. Niemasz ich!

Na polski naród idzie dziś ta sama, co przed wieki od korzenia odrodzona teutońska potęga z całą przemocą. W polską pierś godzi dziś znów wróg zawzięty i niemasz zda się jej czem osłonić. Bo potomki owych świetnych z pod Grunwaldu rycerzy w przedpokojach wrogów kornie chylą czoła, albo ziemię krwią okupioną i w zastaw przez Rzeczpospolitą oddaną na hazard puściwszy, u obcych smutnej imieniowi Polaka dosługują się sławy, albo bezradni i upadli na duchu, stronią od pracy dla dobra społeczeństwa swego.

Ale przebóg! Są jeszcze inne potomki grunwaldzich bohaterów, szczerzy synowie wielkiej polskiej ziemi — jest hufiec trzeci. Ci „kmiecie zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, poopierali drągi od dzid, cepów i kos o ziemię i przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli popluwać w pracowite, ogromne dłonie, poczem chwycił każdy narzędzie i nabrał tchu. Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

— Zdro-waś-Ma-ry-ja-Ła-skiś-peł-na-Pan-z-Tobą!!!

I szli jak powódź. — Aż doszli. I stęknął każdy jako krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło, aż trzask i krzyki wzbiły się aż ku niebiosom...“

W pomoc zaś tym kmieciom z Wielkopolski, tym gburom z Prus i Mazurom z pod Ełku, co jak zdrowe dęby w ziemię swoją wrośli, idą hufy nowe, jeszcze w bojach nieznane, ale dziwnie jakoś twarde i zażarte — to górnicy ze Ślązka, starej piastowskiej dzielnicy synowie, to milionowy lud roboczy, co z łona ziemi matki czarny węgiel i cenne kruszce wydobywa. A obok tych krzepkich, głębokich zastępów, co każdą piędź ziemi ojczystej rzekami krwawego potu okupić gotowi — dziś z polską książką w ręku młode pacholęta stanęły i nieletnie dzieci, wołając: „Nie damy ziemi ojców i duchowej po nich spuścizny i Bogu w obcej mowie modlić się nie będziem“.

Lęk zdejmuje wrogów przed tym hufcem trzecim. Radziby lemiesz i młot z krzepkiej wytrącili dłoni i zgłuszyli wołanie broniących się dzieci... Ale hufiec trzeci idzie równo a ciągle, pobrzękują ciągnione na polską rolę lemiesze, dźwięczą kosy i młot mocno kuje. A cała Polska patrzy na ten zastęp ostatni z niepokojem, ale i wielką nadzieją.

W chwili obecnej tak pełnej trudu, bólu i ciężkiej troski od pól grunwaldzkich spływa na wszystkich walczących i cierpiących moc dobrej wiary i wytrwania, podnosi ducha i ukrzepia ramiona na nowe cierpienie i nowy trud. Stroskane i niepewne rozpogadzają się twarze, rozjaśniają czoła i wstępuje w duszę wielkie pragnienie, aby jedną choćby chwilę przeżyć tak górnie, jak ojce kiedyś żyli całe lata....

S. P.

15-go lipca 1410 roku.

(Według Karola Szajnochy: „Jadwiga i Jagiełło.“)

Noc z dnia 14-go na 15-ty lipca była nadzwyczajnie wietrzna, burzliwa. Gdy nazajutrz król Władysław Jagiełło, w obozie pod Dąbrownem, chciał o świcie wysłuchać mszy św. przed pochodem, nie zdołano dla wichru rozpiąć żadną miarą namiotu, pod którym zwyczajnie odprawiało się nabożeństwo. Uprosił tedy W. ks. Witołd Jagiełłę, aby do nieco późniejszej chwili odłożył modły, a tymczasem wyruszył w drogę. Tym sposobem postąpiła armia królewska o dwie mile na północ i znalazła się przed południem w pobliżu wsi Logdau Faulen czyli Ulnowo, z ubocza od Grunwaldu i Tannenberga, leżącym o pół mili na lewo ku zachodowi. Polacy stanęli na samej krawędzi lesistego obszaru, u brzegu szeroko przed nimi rozwartej przestrzeni polnej. Rozciągała się ona cokolwiek z ukosa ku zachodnio-północnym krańcom. W pośrodku jej amfiteatralnego wzniesienia, o pół mili od siebie, leżały ubogie sioła Grunwald i Tannenberg, tamto niżej na lewo, to nieco wyżej na prawo. U stóp Grunwaldu, ku stanowisku polskiemu, zieleniały bujne łąki i niwy; od Tannenberga przeciwnie szarzał naprzód znaczny spłacheć ugoru, dalej zaś całkiem dziki, zamarły step. Tylko w połowie odległości między polskim taborem, a Tannenbergiem zieleniała kępa sześciu ogromnych dębów.

W obliczu takiegoż przed sobą widnokręgu, zajęli Polacy i Litwini niskie, lesiste podnóże okolicy, oblane z lewej strony kończyną długiego jeziora Dąbrowskiego, z prawej jeziorem Lubeń. Myślano atoli zabawić niedługo w tem stanowisku, mianowicie przez czas nabożeństwa i wypoczynku. Kiedy jednak wojska krzątały się około założenia taboru, a bogobojny Jagiełło udał się do namiotu-kaplicy, celem wysłuchania mszy św., nadbiega pewien szlachcic chełmski, Hanko Ostojczyk, donosząc królowi o dostrzeżeniu jednej chorągwi nieprzyjacielskiej w stronie Grunwaldu. Tuż za nim pospieszył drugi, trzeci i czwarty z wiadomością o coraz większej sile krzyżackiej, o całem wojsku pruskiem.

Najwyższa polska rada wojenna składała się z ośmiu dostojników koronnych; wchodzili do niej: „pan krakowski“ Krystyn z Ostrowa, wojewoda krak. Jaśko Tarnowski, Sędziwoj z Ostroroga wojew. pozn., Mikołaj z Michałowa wojewoda sędom., Mikołaj Trąba, prob. u św. Floryana i podkanclerzy koronny, Zbigniew z Brzezia marszałek królestwa, Piotr Szafraniec podkomorzy krakowski i młody książę Mazowiecki Aleksander Ziemowitowic.

Rada postanowiła przyjąć bitwę ze względu na korzystne stanowisko wojska polskiego. Kiejstutowicz Witołd, równie niecierpliwy i nagły, jak król Polski ociągający się i powolny, rzucił się czemprędzej do rozstawiania wolnych oddziałów armii, do szykowania pojedyńczych chorągwi, do wydawania rozkazów w razie bitwy. Przy powszechnem rozdzieleniu wojsk, osadzili się Polacy na skrzydle lewem, ku Grunwaldowi, Litwini na prawo od Tannenberga.

Nad lewem skrzydłem polskiem, zawierającem także zaciężne roty niemieckie i chorągwie niektórych prowincyi ruskich, mianowicie Rusi Czerwonej i Podola, liczonych do Korony, miał

największe dowództwo rycerski miecznik krakowski Zyndram.

Skrzydłu, czyli „rogowi“ litewskiemu, obejmującemu siły Litwy tudzież reszty ziem ruskich i Tatarstwa pod Saladynem, przewodził osobiście W. książę litewski.

Ogólna ilość wojska pod polskiemi i litewskiemi znakami dochodziła 100 tysięcy ludzi.

Witold i rycerstwo polsko-litewskie wrzało niecierpliwem żądaniem bitwy. Pobożny zaś Jagiełło ciągle jeszcze modlił się w kaplicy nad jeziorem, a wszystkie wyprawiane doń posyłki z prośbą o wydanie hasła do boju przynosiły zawsze tensam rozkaz czekania. Już południe mijało, a wojska polskie stały wciąż w tej samej, gnuśnej na pozór nieruchomości.

Wojsko krzyżackie, liczące 83,000 najprzedniejszego, z całej Europy ściągniętego rycerstwa, stało już oddawna w pogotowiu bojowem. Było pewnem zwycięstwa, to też niecierpliwiło Krzyżaków zbyt długie oczekiwanie. A przytem upał południa lipcowego doskwierał silnie rycerstwu niemieckiemu, pot oblewał je pod ciężkiemi zbrojami. W tak przykrem położeniu postanowili Krzyżacy posłać Jagielle dwa miecze nagie, jako znak rycerskiego wyzwania na bój niezwłoczny. Stanęła nawet uchwała, iżby wojska krzyżackie ustąpiły ścieśnionym wojskom polskim cokolwiek miejsca do posunięcia się naprzód.

Wysłano do Jagiełły heroldów, którzy, podając mu dwa nagie miecze, w te doń ozwali się słowa:

— Przynosimy w imieniu W. mistrza, W. marszałka i całej braci zakonu, tobie królu i tobie książę Witoldzie, te oto dwa miecze nagie w pomoc i zachętę do boju, który dziś stoczyć macie. I pozwalają wam oraz ciż panowie zakonni wybrać sobie miejsce do bitwy, w którejkolwiek stronie zechcecie. Dlatego nie trwońcie czasu, nie kryjcie się w mroku leśnym, nie strońcie od walki, której uniknąć nie możecie.

Łzy zabłysły w oczach króla Władysława Jagiełły. Na harde krzyżackie wyzwanie miał tylko słowa pełne chrześcijańskiej prawdziwie pokory.

— Pomocy nie szukamy u nikogo innego — odrzekł król — jak tylko u Pana Boga. W jego też imieniu przyjmujemy te miecze i chcemy niezwłocznie rozprawić się z wami walką orężną. Lecz miejsca bitwy oznaczyć nie możemy, gdyż Bóg jedynie wie i wytycza to miejsce. On je wam i nam już oznaczył.

* * *

Było już około trzeciej godziny z południa; lekki wiatr od lasu powiał kurzem w oczy Krzyżakom. W tej chwili zagrały trąby i cała linia bojowa zabrzmiała pieśnią „Bogarodzica!“ Prawe skrzydło litewskie ruszyło na spotkanie nieprzyjaciela.

Niemcy uderzyli z niezmierną gwałtownością, ruszyli odrazu całym ogromem swojego wojska z wyjątkiem kilkunastu znaków odwodu. Głośna w średniowiecznych dziejach „furya teutońska“ spadła niepowstrzymaną burzą na Litwę. Pęd z góry potroił siłę natarcia. Po zwarciu się szeregów, pokruszyły się kopie; wszczęły się zapasy ręczne, pierś o pierś, ramię o ramię. W miejsce kopii szczękał już miecz o miecz, oszczep o oszczep. Natarły na się topory czyli berdysze, gorzej uzbrojona tłuszcza godziła w siebie maczugą, pałką okutą.

Przez całą godzinę nie ustępowały szyki jeden drugiemu. Wreszcie zachwiała się rozkołatana ściana litewska. Parta coraz srozszym naciskiem Niemców, cofnęła się Litwa i Ruś z Tatarstwem cokolwiek w bok, na prawo, ku jeziorowi Lubeńskiemu. Tam zatrzymano się jeszcze i jeszcze wznowił się opór. Rychło atoli przedarli Niemcy nawskroś linię litewską, rozerwaną w dwie ustępujące połowy. Nierównie liczniejsza połowa prawa, w znaczniejszej części z Litwy i Tatarstwa złożona, pierzchnęła w stronę jeziora. Nastąpiła sroga rzeź uciekających. Niektóre oddziały tak dziki ogarnął popłoch, iż nie oglądając się po za siebie, miały przez wiele uciekać dni, dostać się aż do Litwy, rozsiewając tam wieść o pogromie.

Lewy odłam rozgromionej linii litewskiej, w którym stały trzy bohaterskie roty Smoleńszczan, walczył dalej zapamiętale. Odcięte przez zwycięskich Niemców od reszty wojsk litewskich, zdzierżyło rycerstwo ruskie na sobie ogromną przemoc nieprzyjaciela i lubo prawie w pień wycięte pod jednym znakiem, przedarło się nakoniec ku stojącemu opodal skrzydłu Polaków. Waleczny Witold, nie zdoławszy utrzymać sprawy w skrzydle litewskiem, zawezwał bezczynnych dotąd Polaków co prędzej na plac bitwy.

Ogromne tumany kurzu wzniosły się po uciekającej Litwie i Ordzie. Ciągły od lasu wiatr miótł je w oczy Krzyżakom. Wreszcie puścił się drobny deszczyk i oczyścił powietrze. W blasku nowej pogody rozwinęła się nad wojskiem polskiem wielka chorągiew państwa z białym orłem w koronie. Król Władysław Jagiełło stał na wzgórzu z ubocza, niecierpliwie przypatrując się bitwie.

Uderzyli rycerze polscy z niemniejszą od teutońskiej natarczywością. Ale rozgorzałe szczęśliwym bojem Krzyżactwo nie znało już żadnej tamy. Pod ciężkim szturmem Niemców zachwiała się ława polska, upadła wielka chorągiew państwa. Wszczęła się zażarta walka o sztandar. Wszczęły się śmiertelne zapasy dwóch odwiecznie wrogich sobie narodów, pełne gwałtownych co chwila zmian. Już po ostatecznem wysileniu Polaków podniosła się wielka chorągiew o białym orle. Już nową otuchą zagrzane rycerstwo polskie coraz pomyślniej parło nieprzyjaciela.

Wtem ukazują się na pobojowisku dawne pułki krzyżackie, wracające wesoło z pogoni za Litwą i Tatarami. Jednocześnie wysuwa się z ostatniej linii krzyżackiej zastęp szesnastu odwodowych chorągwi, głównie chełmińskich, przeznaczonych zadać ostatni cios Polakom. Stanął na ich czele sam W. mistrz Ulryk Jungingen, zamierzając uderzyć z boku. Najwyższe niebezpieczeństwo zawisło nad armią i sprawą polską. Pędząca pod W. mistrzem chmura krzyżacka zagroziła swoim prądem samegoż króla Jagiełłę. Ocalił mu życie młody Zbyszko Oleśnicki.

Polacy przez chwilę nie poznali nacierających nowych chorągwi krzyżackich, myśląc, że to powracająca Litwa. Dlatego ociągali się nieco z należytem przyjęciem Krzyżaków. Wzdłuż ich całej linii bojowej zagrzmiała już zwycięzka pieśń bojowa: „Chrystus zmartwychwstał“!

Wtedy wystąpił z lasu trzeci huf królewski, składający się w znacznej części z rot zaciężnych i kmieci polskich. Uderzyły nowe posiłki na Krzyżaków z ukosa. Dwakroć zwycięzcy Niemcy zmuszeni byli stoczyć trzecią bitwę. Wszczął się ostatni śmiertelny zapas nowopokrzepionych Polaków z nieznużonem jeszcze wojskiem chełmińskiem. Powrót Litwy i Tatarstwa przechylił ostatecznie szale zwycięztwa. Nadeszła chwila stanowcza, w której wszystkie oddziały armii polskiej walczyły z potęgą nieprzyjacielską. Odwodowe chorągwie polskie z lewego flanku, Litwini i Tatarzy z prawego, parli oba narożniki krzyżackie przeważnie ku środkowi. Już prawie z okoła w szerokie ramiona armii polskiej objęci, padali Niemcy niezmiernie gęstym trupem. Polska i Litwa godziła przedewszystkiem w białe płaszcze zakonu, a Tatarstwo ubijało głównie konie rycerstwu. W powiększającym się z każdą chwilą nawale obydwóch skrzydeł polskich zniknęła Krzyżactwu wszelka nadzieja zwycięztwa. Chorągwie chełmińskie, które biły się jak z musu, które w zwycięztwie oręża polskiego widziały koniec straszliwego krzyżackiego ucisku, poobalały znaki pruskie i poddały się Polakom, bądź pierzchnęły. Rycerski mistrz Ulryk, choć nie widział już

żadnego zbawienia dla siebie i dla zakonu, nie chciał uchodzić z pola walki, choć mu to doradzono. „Nie daj Boże“! — zawołał, abym miał uchodzić z pola, na którem padło tylu walecznych!“

Poległ też mało co później niedaleko Tannenberga. Wraz z nim poległ cały [illegible]wie zakon krzyżacki.

Z [illegible]miuset „białych płaszczów“ ocalało tylko pię[illegible] [illegible]rawie wojsko krzyżackie już to, zwyczajem dawnego wieku, przyklękło, już to zaścieliło trupem pobojowisko, prosząc o łaskę. Zaledwie garstka rozbitków, rzucając broń i chorągwie, zdołała umknąć drogą ku taborowi W. mistrza, aby ją wskazać swoim pogromcom. Znaleziono w taborze „wiele tysięcy“ wozów z zapasami wszelkich potrzeb wojennych. Zdziwiły osobliwie wozy z mnóstwem pochodni smolnych i żagwi do wzniecania pożarów. Nie brakło nawet wozów z łańcuchami i pętami na przyszłych jeńców polskich.

Do przyszłej uczty zwycięztwa nad Polakami stały w krzyżackich namiotach i na wozach krzyżackich ogromne beczki z winem. Aby wojska zwycięzkie nie upoiły się niem, kazał król Jagiełło coprędzej pozbijać obręcze z beczek i wytoczyć wino na ziemię. Rzęsiste strugi czerwieni, krwi zmięszanej z winem rozlały się po spadzistem pobojowisku. Więzy spodziewanej niewoli wojsk polskich zaciężyły na samychże Krzyżakach, a wino spodziewanej radości płynęło wespół z ich krwią...

Bitwa pod Grunwaldem była jedną z największych i najkrwawszych, jakie znają dzieje ludzkości. Liczbę poległych z obydwóch stron obliczali współcześni na 60,000, do niewoli wzięto 40,000 krzyżackiego wojska. Wszystkie chorągwie dostały się w ręce Polaków.

W ciągu czterogodzinnego boju rozstrzygnęły się w chwale i blasku dalsze losy Polski i Litwy. W czterogodzinnym śmiertelnym wysiłku ocalili Polacy istnienie własne i byt Europy wschodniej, pomścili wiekowe krzywdy ze strony butnych rycerzy malborskich i zabezpieczyli się na długie wieki od krzyżackich pożądań.

W rocznicę pogromu.

Pomnisz Hakato? W śmiertelny bój
Biegł z butną wrzawą krzyżaczy rój,
I dzwoniąc w zbroje tak gniewnie wył:
„Słowiańskie rzesze roztrącą w pył
„Nasze rumaki, zakute w stal!
„Błyszczącym mieczem poniesiem w dal,
„Po Czarne morze, po Karpat wał,
„Sławę Germanów! I będzie drżał
„Przed mocą naszą ten hardy lud!
„Na jego grzbiecie postawim but,
„A on z pokorą u naszych stóp,
„Łask będzie żebrał, zbutwiały trup!“

O! najsławniejszy z pamiętnych dni!
Na białych płaszczach krzyż czarny lśni,
Nad szyszakami las strusich piór,
A wyżej sępów i kruków chór,
Wietrząc obfity krwi ludzkiej siew,
Krąży i nuci pogrzebny śpiew.
Czerwono wschodzi słoneczny krąg;
Tajemny poszept, płynąc od łąk,
Otrząsa z kwiatów brylanty ros;
Z grunwaldzkich dębów posępny głos
Wydarł się śpiewnie, a w tysiąc ech
Złamał go wichru szyderczy śmiech.

„Boga Rodzica“... Lechicki huf
Pochylił kornie tysiące głów,
A pieśń, strojona w błagalny ton,
Dzwoni błękitem jak srebrny dzwon.
A nagle hufce pomknęły w cwał...
Srebrne szyszaki miecz polski rwał,
W twarde pancerze topór się wbił,
Otwierał piersi i krew z nich pił;
Miotany łukiem litewskich rot
Krzyżackie karki przeszywał grot,
W krwi wrażej gasząc krzywd starych [gniew,
Rzeką spłynęła teutońska krew.

Dźwiękami sławy grał lacki róg!
Z wrzaskiem sromotnym pierzchł butny [wróg,
Przy białym płaszczu płaszcz biały legł.
Okrzyk zwycięztwa wzdłuż Polski biegł,
I niósł go chyżo skrzydlaty wiatr,
Po sine morza! po szczyty Tatr!
A Tatry dumnie podniosły skroń
W strojną tęczami błękitów toń,
Szumiał radością zbożowy łan,
Bory zawiodły weselny tan,
. . . .
Lecz oto świt
Złoci blaskami tatrzański szczyt,
A nad turniami ptak biały mknie...
Hej! Wrócą jeszcze pogodne dnie!

Tadeusz Kawęcki.

Basutowie.

(Do illustracyi).

Wojna pomiędzy Anglią, a republikami Oranii i Transvaalu zwróciła uwagę Europy na dzikie ludy, zamieszkujące Afrykę południową. Żyją tam plemiona murzyńskie, nadzwyczaj liczne, nienawidzące się i prześladujące wzajemnie. Najgłówniejszem, a zarazem najdzielniejszem są Basutowie. „Basuto“ w języku miejscowym znaczy „żebrak.“ Nazwę tę przyjęło owe plemię dopiero w trzecim dziesiątku bieżącego stulecia. Poprzednio Basutowie stanowili całość z plemieniem Beczuanów.

Około roku 1815-go pojawił się w Afryce południowej wojownik i reformator, Mosilikatse, wódz plemienia Matabelów. Widząc coraz silniejszy napór „ludzi białych“, Mosilikatse chciał zjednoczyć plemiona Afryki południowej, ażeby połączonemi siłami przeciwstawić opór Europejczykom. Ale sprawa to była trudna. Mosilikatse zrozumiał, że tylko podbiwszy kłócące się plemiona, można będzie wzmocnić potęgę murzyńską, pod jednem berłem połączoną. Najpierw zwrócił się przeciw Beczuanom. Część ich podbił pod swe panowanie, a mianowicie plemię Bakwenów, reszta umknęła za rzekę Waal aż do gór Smoczych. W tułaczce swej przyjęli oni nazwę „żebraków“ — „Basuto“, i ta dotychczas im została.

W roku 1831-ym wódz Basutów, Moszes, zdołał zebrać rozpierzchłe gromady i utworzył jednolite państwo, do którego przyłączyła się następnie reszta Beczuanów i część Kafrów. Od tego czasu zaczął się cały szereg bojów z Anglikami i Boerami. Przez lat przeszło 30 trzymali się Basutowie odpornie, aż wreszcie po klęskach, poniesionych w r. 1868-ym, Moszes poddał się Anglikom. W następnym roku określono granice



Basutowie-jeńcy w niewoli angielskiej.

„Kraju Basutów“ i zamieniono go w kolonię angielską, podległą administracyi zarządzającej Kolonią Przylądka. „Kraj Basutów“ graniczy z Oranią i Natalem z jednej, a z krajem Griqua z drugiej strony — i dzieli się na pięć części. Przyznać trzeba, że administracya angielska dobroczynnie wpływa na rozwój ludności. Basutom zostawiono zupełną swobodę, nie wolno im tylko trzymać u siebie broni, ani używać wódki, którą w początkach swej styczności z białymi Basutowie bardzo polubili.

Gdy Basutowie przechodzili pod władzę angielską, było ich 125,000; dziś plemię to liczy około 530,000 głów, co jest najlepszym dowodem rozrostu ludnościowego.

Już Moszes starał się nakłonić Basutów do pracy na roli i do przemysłu; starania jego jeszcze bardziej rozwinął wódz Basutów, Dawid Masupha. Część Basutów, wyznaje religię chrześcijańską (ewangielicką), reszta atoli, stanowiąca większość, pogrążona jest w pogaństwie. Dawniej między Basutami kwitło ludożerstwo, praktykowane w celach religijnych. Anglicy zdołali je już wykorzenić.

Ubiór Basutów mężczyzn składa się z pasa płóciennego lub skórzanego, owiniętego około bioder. Kobiety noszą okrycia długie płócienne, z rękawami, podobne do koszuli, sięgające aż do ziemi.

Obecnie Basutowie zajmują się przeważnie rolnictwem. Są to ludzie usposobienia spokojnego, szczerego; ciągła wesołość jest cechą ich charakteru. Mieszkają po wsiach, których domy budowane są w półkola. Najgłówniejszą ich osadą jest Ihoba-Bossigo. Biorą też niekiedy w dzierżawę ziemie w sąsiednim Natalu lub Oranii, gdzie cieszą się opinią zawołanych rolników.

W ostatnich czasach Basutowie, gdy Anglicy zażądali od nich podatku w pieniądzach lub w naturze, dali odmowną odpowiedź i w niektórych okolicach porwali się przeciw nim do broni. Rozruchy Anglicy stłumili siłą, pochwytali oporniejszych i skutych w kajdany sprowadzili do Maseru, gdzie się znajduje główny rezydent angielski, zarządzający krajem Basutów. Scenę tę przedstawia nam załączona rycina.

—ski.

Matuzale państwa roślinnego.

(Do illustracyi.)

O Matuzalach wśród ludzi coraz mniej słychać. Do nadzwyczajności zaliczamy, jeżeli się komu uda, mniej lub więcej szczęśliwie, ósmego dziesiątka lat dociągnąć, a o stuletnich starcach czasopisma się rozwodzą, jak o cudach świata. — Karleje ród człowieczy pod wieloma względami, — jeżeli nie pod każdym, — bo nie tylko sędziwość, ale i bohaterstwo, poświęcenie się, wola niezłomna, geniusz, należą do wyjątków, kiedy in illo tempore tak były powszednie, że nikogo nie dziwiły.

Skurczył się rozmiar wieku naszego, więc, jakby przez zazdrość, usuwamy z przed oczu wszystko, co cechę sędziwości nosi, lub w najlepszym razie — nie otaczamy czcią zabytków należną. Niszczeją pomniki sztuki, mole trawią świadectwa dawnych czasów, prastare bory padają ofiarą chciwości, jeżeli je kto czci, kocha — to chyba wielki umysł i wielkie serce, jakie posiadał wieszcz nasz, który też cześć swą zawsze w dziełach swoich wyrażał.

„Knieje!“ — woła z łzą rzewną w „Panu Tadeu-[szu“ — do was ostatni przyjechał na łowy,
Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy,
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.
Drzewa moje ojczyste! Jeśli niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy:
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
Wy, koło których niegdyś pełzałem, jak dziecię..



Sosna w Saint Tropez

Wspomina następnie poimiennie sędziwych przyjaciół swoich:

„Czy żyje stary Baublis, w którego ogromie
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed [illegible]kich domem, nad brzegami Rosi,



Sosna w Tour, wyrosła na kawałku muru.

Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

Rozżalony wieszcz, bolejąc w dalszym ciągu nad wandalizmem ludzi mówi:

„Pomniki nasze! ileż co rok was pożera
...kupiecka siekiera!
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.
Wszak lipa czarnoleska, na głos Jana czuła
Tyle rymów natchnęła! Wszak ów dąb gaduła,
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewał!..

W ostatnich latach jednak spostrzedz można zwrot ku lepszemu: zabytki wieków zaczynają ludzi obchodzić, są oszczędzane, otaczane opieką. Francya naprzykład, nie tylko chroni z należytą troskliwością dzieła sztuki, dokumenty piśmienne i drukowane, gmachy i ruiny, ale ochronę rozciągnęła nawet do drzew sędziwych. Rysunki nasze wyobrażają podobizny dwóch takich zabytków świata roślinnego, ocalałych wskutek zabiegów specyalnego stowarzyszenia, którego celem jest właśnie ochrona wszelkich pamiątek i godnych szacunku osobliwości. Na pierwszym widzimy sosnę, zwaną Bertaud, rosnącą w departamencie Var (Francyi południowej), na środku drogi z miasta Saint-Tropez do stolicy departamentu, Draguignan. Przy budowaniu drogi miała zniknąć z powierzchni ziemi, lecz stowarzyszenie, o którem nadmieniliśmy wyżej, ocaliło ją. Stare to drzewo liczy około 550 lat wieku, słusznie tedy do Matuzalów zaliczone być może. Pień staruszka posiada 4 m. 50 obwodu, średnica u góry liczy 2 m. 24 u dołu — 1 m. 94.

Rysunek drugi wyobraża drzewo wyrosłe na murze, stanowiącem szczątek dawnej kaplicy, która zburzona została

w końcu zeszłego stulecia, w czasie wielkiej rewolucyi. Znajduje się ta osobliwość na drodze łączącej Sainte-Maxime sur-Mer z zatoką Grimaud. Liczy ono około stu lat wieku, nie może się zatem równać pod tym względem z poprzedniem, w każdym razie należy do rzadkości roślinnych, gdyż nie tylko się utrzymuje tak długo w gruncie tak jałowym, ale posiada wyjątkowe rozmiary, jest bowiem wysokie 5 metrów, obwód pnia wynosi 0 m. 94, a mur posiada wysokości 4 metry. To jeszcze dziwne, że wypuściło w murze szczelnie spoistym że mur nie rozpadł się przy rozroście korzeni, które, jak wiadomo, podczas wegetacyi nie znachodzą zwykle przeszkody zdolnej im stawić opór.

Patrząc na te rysunki drzew sędziwych, ocalałych dzięki staraniom stowarzyszenia konserwatorów rzeczy pomnikowych, mimowolnie nasuwa się pytanie: kiedyż my się doczekamy podobnie dobroczynnego stowarzyszenia? A potrzebne nam ono bardzo, bardzo...

S.

Teatr w Chinach.

(Do illustracyi).

Teatr budzi w Chinach od niepamiętnych już czasów iście entuzyastyczne zainteresowanie. Dochowały się do naszych czasów dramaty chińskie, pochodzące z zamierzchłej przeszłości. Kto je tylko przeczyta, nie wątpi ani chwili o ich autentyczności i starożytności. Nie mają one zupełnie nic wspólnego ani ze skończonemi pod względem formy tragedyami greckiemi, ani z pełnemi głębokich myśli dramatami Goethego; dramaty chińskie nie zawierają wzniosłych idei, tylko czcze, moralne przepisy o spokojnem używaniu życia. Chińscy dramaturgowie ucza słuchaczów w swoich dramatach czci względem Boga, miłości rodziców i przywiązania do tronu; kreślą w swoich utworach życie codzienne z całym jego szarym realizmem.

Jest właściwością chińskich dramatów, że w nich bohater, ukazujący się po raz pierwszy na scenie, sam kreśli własne „curriculum vitae", rozwodząc się nad genealogią swego rodu, opowiadając o swoich zapatrywaniach na świat, zachciankach różnego rodzaju, wadach i zaletach.

I tak np., zjawia się na scenie jeden z bohaterów i mówi: „Nazywam się Ma, byłem dotąd wielkim przyjacielem przyjemnego spędzania życia; ze wszystkiego na świecie najbardziej lubię łąki i kwiaty". Jeżeli same sztuki dramatyczne tak bardzo różnią się



Aktor chiński w roli tragicznej.

od naszych dramatów, tak ze względu na treść jak i na formę, to jeszcze mniej podobieństwa jest między urządzeniem sceny europejskiej a chińskiej.

Chiński teatr jest podobny do teatru starożytnych Greków, przedstawienia jednak nie odbywają się tak, jak tam, pod gołem niebem. Trzy rogi kwadratowego namiotu zajmują siedzenia widzów, w czwartym znajduje się scena bez kurtyny, o bardzo prymitywnych kulisach.

Zmiana dekoracyi odbywa się przed oczyma widzów. Zato stroje aktorów odznaczają się bogactwem, wspaniałością i elegancyą W życiu prywatnem aktorzy muszą znosić wielkie przykrości. Rekrutują się oni z najuboższych warstw udności; jeszcze w dziecięcych latach zakupują



Wojownicy w teatrze chińskim.

ich przedsiębiorcy teatralni i wtajemniczają w zawód aktorski.

Niech który z nich się pomyli, choćby w drobnostce, to zaraz otrzymuje bambusowym kijem bolesne plagi. Aktorami są w większej części tylko mężczyźni.

—ski.

Panna młoda.

Mazurek. (Chopin)

Całe niebo we mnie!
A z ócz płynie łza —
Ach! błoższej odemnie
Nie ma ziemia ta.
Zbytkiem szczęścia skacze,
Serce — z tego mrą...
Ach! dobrze, że płaczę,
Zbytek spłynie łzą.

A któż to tam,
Puka do mych drzwi!
Nie wolno wejść!
Suknię dają mi.
Poczekaj waść,
Jam czekała t[illegible]!
No, widzisz go!
Suknię biorę w[illegible]ak.



Dawne stroje chińskie.



Dawne stroje chińskie.

Już ja jegom prawie,
Już nadszedł dzień ten!
Ach! czy to na jawie,
Czy to tylko sen!
Któż te słowa zważy;
Jam jego — on mój!...
Ach! jak mi do twarzy,
Leży ślubny strój!

A któż to tam
Puka do mych drzwi?
Nie wolno wejść!
Wieniec kładą mi.
Ach, jakiż on
Niecierpliwy wciąż —
Źle ze mną, źle,
Srogi będzie mąż.

Łza za łzą mi cieknie,
A bierze mnie śmiech —
Ach! śmiać się nie pięknie
W dzień ślubu — to grzech.
Schronię się od złego,
Do Maryi nóg —
Ach wiem ze wszystkiego,
Że mnie kocha Bóg.

Ot w kaplicy już,
Organ zaczął grać;
O duszeczko ma!
Radźże sobie, radź.
I kapela także
Pobrzękuje razem —
Ja sobie tymczasem
Klęknę przed obrazem.
Maryo! Pani nieba!
Daj nam co potrzeba!
. . . .

*

Wróciłam z podróży
Promieni i róż...
Ach! nie pukaj dłużej,
Idę, idę już!
Nieznajomą drogą,
Jasny puszczam wzrok —
Ach! jak lekko, błogo,
Pierwszy stawiam krok.

Kornel Ujejski.

ZBRODNIA.

(Z małorosyjskiego).

O skazanym Iwasiu wiedziano tyle tylko, że był pasterzem owiec, czabanem, na stepie budziackim, że zarżnął za siedem kopiejek pisarza i za to skazany został na dwadzieścia lat ciężkich robót. Nazwiska swego ani pochodzenia nie wyjawił, bo i sam ich nie znał.

Czabanowie znaleźli go jako pięcioletniego chłopca na stepie. Umiał się wtedy przeżegnać, powiedział, że się nazywa Iwaś i nic więcej. Wzięli go do siebie i Iwaś wzrastał, spędzając zimę i lato dni z owcami, noce z psami owczarskiemi. Ubrano go w łapcie skórzane, spodnie futrzane, kożuch i czapkę baranią, dostał „czeres“, szeroki pas, w którym nosił nóż i rozmaite drobiazgi. Przez dwadzieścia pięć lat swego życia był dwa razy we wsi u gospodarza, od którego dostawał pieniądze na koszulę. Resztę czabanowie sami sobie robili.

Step niezmierzony, walka z zimnem, burzą, deszczami, z upałami letniemi, z wilkami i rabusiami stepowymi, wycisnęły swe piętno na postaci i charakterze Iwasia. Wysoki, silny, z bronzową twarzą, odkrytą, zarośniętą piersią, mógł się zdawać starasznym każdemu mieszczuchowi.

Na rok przed zbrodnią Iwaś prosił pisarza o trzydzieści kopiejek; prosił kilka razy, lecz pisarz, który przyjeżdżał w step cztery razy do roku, nie dawał mu pieniędzy. Wreszcie dał mu dwadzieścia trzy kopiejki. Iwaś policzył.

— Jeszcze siedm... — rzekł ostro.

— Idź do czorta! — krzyknął gniewnie pisarz. — Powiedziałem, że nie dam...

Nie skończył jeszcze, a już Iwaś powalił go na ziemię i zarżnął nożem. Przerażeni czabanowie nie mogli zrozumieć, na co chciał Iwaś trzydziestu kopiejek i za co zarżnął pisarza.

Dano znać gospodarzowi, przybyła policya.

Iwaś zeznał, że zarżnął pisarza, a na zapytanie dlaczego to zrobił, odpowiedział po prostu:

— Mówił, że da hroszy, a nie dał. Powinien był dać.

Iwasia związano, odwieziono do miasta i osądzono na ciężkie roboty. W więzieniu, już po wyroku, zaszło coś takiego, czego nie mogli zrozumieć ani aresztanci, ani nadzorca, ani pewnie sam Iwaś.

Było to w nocy. W więzieniu panowała cisza głęboka. Lampki kopciły, w celach ciemności i odór nieznośny.

W celi skazanych spało kilkunastu aresztantów. Przez okienko we drzwiach dochodziło wycie wiatru jesiennego i kroki strażnika. Nagle wśród głębokiej ciszy dał się słyszeć gdzieś w pobliżu jęk, naprzód cichy, stłumiony, potem coraz głośniejszy, wreszcie po korytarzu rozległ się pełen boleści niewymownej krzyk kobiecy... Aresztanci zerwali się na nogi. Jęki i krzyki nie ustawały. Zadzwoniły klucze, zazgrzytały drzwi, odezwały się głosy i nawoływania, a po chwili, obok drzwi skazańców, przeniesiono kogoś, jęczącego boleśnie.

Iwaś pierwszy słyszał krzyk. Z bijącem sercem, blady, stał pod ścianą i słuchał. Takiego krzyku nie słyszał nigdy na stepie. Nie jęczy tak ani wicher, ani zawieja, ani stado wilków, ani umierający czaban.

Aresztanci stali i siedzieli milcząc; skazany za rozbój dyaczek, odmawiał modlitwę; dwaj cyganie siedzieli w kucki, z głowami opartemi o kolana i podpalacz obcierał rękawem wilgotne oczy. Wszyscy wiedzieli, co się tam dzieje, nie wiedział tylko Iwaś.

— Czy też się już urodziło?—przerwał milczenie dyaczek. — Chłopiec, czy dziewczyna?... No, jutro się dowiemy...

— Biedaczka! — odezwał się podpalacz. — To z „państwa“... Widziałem ją raz w pralni... Taka blada, szczupła...

— Podobno idzie na Sybir... Marny jej los! Zimno, śnieg, z dzieckiem.. bez grosza..

Długo jeszcze mówili aresztanci o nowym przybyszu, o Sybirze, o okropnych etapach, wreszcie posnęli. Wszystko w więzieniu ucichło. Nie spał tylko Iwaś. Leżał z otwartemi oczami, odwrócony do ściany; w uszach brzmiały mu jeszcze jęki i krzyk bolesny. Na szarej ścianie widział ponure obrazy: las bez końca, głęboki śnieg, blada, słaba kobieta z dzieckiem na ręku...

Rankiem powstał w więzieniu hałas i bieganina. Robiono przygotowania do wysyłki skazanych. O szóstej rano zaprowadzono Iwasia do kuźni. Okuto mu ręce i nogi, ogolono pół głowy, dano szynel więzienny z asem karowym na plecach. Czekała go długa droga, do ciężkich robót, na Sybir.

Blady, jak trup, z zeschniętemi wargami i gorączkowo błyszczącemi oczyma, Iwaś skierował się do kancelaryi.

— Czego tu chcesz? — zapytał pisarz.

— Do nadzorcy — odparł cicho Iwaś.

— Czego? — zapytał krótko nadzorca.

— Ja do... do was... w nocy... dziecko... — jąkał Iwaś, oddychając ciężko.

— No tak, urodziło się w nocy dziecko. Cóż to ciebie obchodzi? Może twoje? — żartował nadzorca.

— Nie... nie moje... Dziecko... matka... na Sybir... Mam tu „czeres“ — nie patrząc na nadzorcę, począł rozwiązywać pas skórzany, — tu są hrosze... Niech tam, dla dziecka... małe, nagie, matka chora...

Iwaś kończył z wysiłkiem coraz prędzej, dysząc ciężko i spocony, podał nadzorcy pas, z którego wypadło kilka monet. Potem odwrócił się prędko i spiesznie poszedł do celi, stąpając ciężko i dzwoniąc kajdanami. Nadzorca, pisarz i żołnierze stali zdumieni; nic z tego nie zrozumieli.

W dwie godziny potem otworzono szeroko bramy więzienia, z podwórza wyszedł tłum aresztantów i żołnierzy. Długo jeszcze błyszczały bagnety, a wśród szarego tłumu wyróżniała się wysoka, dumna postać Iwasia.

W daleką, nieznaną drogę poszedł z głową podniesioną. *r.*

Dział Kobiecy.



Skromna i dobra kobieta.

(Do illustracyi.)

Zmarła w lecie r. z. w Pretoryi żona prezydenta Transwaalu, pani Krüger, nie mieszała się nigdy do spraw politycznych i tylko zadawalniała się tem, że była dobrą kobietą. Gdy Krüger żenił się z nią, był wtedy zwykłym rolnikiem, lubiącym nad wszystko polowanie. Pani Krüger odrazu weszła w dom męża w rolę jego sługi. Pilnowała gospodarstwa i troszczyła się bardzo o życie męża, gdy wyjeżdżał na swe niebezpieczne polowania. Dopiero około 32 roku swego życia Krüger stał się wyznawcą mistycyzmu. Stało się to w ten sposób: Pewnego dnia młody Boer czytał długo wraz z żoną biblię. Nagle wstał, wyszedł i przepadł. Nigdzie go znaleźć nie było można. Szukano go całe tygodnie. Wreszcie, w Waterkloof pod Rustemberg, w lesie, usłyszano dziecięcy śpiew. To był Krüger, który klęcząc blady, drżący śpiewał jakieś psalmy. Zabrano go do domu, wyleczono, ale jego usposobienie moralne zmieniło się zupełnie. We wszystkiem Krüger widział tylko rękę Boga, która wywierała mistyczną dyrekcyę na czyny i dzieła ludzkie. Pani Krüger zawsze ślepo uwielbiająca męża, poddała się najzupełniej religijnej egzaltacyi swego małżonka, przyjęła jego sposób życia i pozostała ciągle tą „dobrą" kobietą, jaką była później i w pałacu prezydenta, gdy los postawił Krügera na czele narodu.

Bardzo skromna, ubrana zawsze czarno w suknie, które szyła sama, nie miała nigdy więcej sukien nad trzy — a kapelusze w liczbie dwóch pani Krüger ubierała sama czarną wstążką, nie chcąc zgodzić się na przystrojenie ich choćby jednem piórkiem. Pani Krüger bowiem bardzo lubiła zwierzeta, a szczegolnie ptaki. Dla niej moda, wymagająca niszczenia zwierząt, była objawem wielkiego barbarzyństwa. Gdy miano wznieść posąg Krügera — pani Kruger prosiła rzeźbiarza, aby zrobił w kapeluszu zagłębienie, w którem mogłaby się zbierać deszczowa woda, a ptaki piłyby ją jak z rezerwoaru.



Zmarła małżonka Krügera.

Pani Krüger lubiła pędzić spokojne życie i jeżeli ją ktokolwiek z mało znajomych odwiedzał, chroniła się w głąb swoich apartamentów, mówiąc, iż ma migrenę.

Była bardzo przeciwna wszelkim ob-



Były prezydent Transwaalu Krüger.

jawom postępu — przerażały ją po prostu. I tak nie można ją było namówić, ażeby pojechała na dworzec kolejowy i zobaczyła pociąg kolei żelaznej. „Żyłam tak długo bez tych nowości i żyć tak będę nadal." Było to wielkiem zdarzeniem w życiu pani Krüger, gdy wreszcie udała się pociągiem specyalnym do Bushwelt, do gorących wód, którym Boerowie przypisują wielkie uzdrawiające zalety. Naturalnie my nie możemy zrozumieć takiej żony prezydenta — ale tam w Transvaalu cały naród miał dla pani Krüger bałwochwalcze uwielbienie, i nie było ani jednego rolnika, który nie stawiałby swym córkom za przykład tej spokojnej, prostej kobiety, która robiła tyle dobrego, zawsze tak wiele serca miała dla nieszczęśliwych i oddawała je na usługi męża i kraju. To nie wielka dyplomatka, która zniknęła z jej śmiercią, nie błyszcząca i elegancka reprezentantka rządu, lecz kobieta, która cicho zasnęła pośród strzałów armatnich i jęków konających. *—ski.*

Sztuka podobania się.

Podstawą sztuki podobania się jest jak największa czystość w utrzymaniu ciała i ubrania. Nigdy nie należy uciekać się do barwienia twarzy lub włosów, do bielidła ani różu, bo one są zawsze widoczne i nigdy nie ukryją tej wady, o jaką najwięcej chodzi, owszem, prędzej zwrócą na nią uwagę. Bielidło, a zwłaszcza tak zwane emaliowanie, przydaje twarzy wyraz maski, pod którą skóra kurczy się i marszczy, traci swe życie i piękność młodości i pokrywa się pryszczami i liszajami. Barwienie nie tylko niszczy skórę, ale i włosy, które tracą blask naturalny i martwieją, większa bowiem część barwników zawiera składniki metaliczne, trujące, jak ołów i merkuryusz. Piegowate osoby szczególnie często uciekają się do różnych zachwalanych specyfików, bo piegi szpecą twarz piękną, ale zwykle bezskutecznie, jest to bowiem właściwość skóry; żaden środek tu nie jest w stanie pomódz, nie niszcząc skóry; ale piegi znikają same przez się. Smarowanie ust różaną pomadą wywołuje zwykle pierzchnienie ich i suchość, czernienie zaś powiek sprowadza tworzenie się jęczmienia. Najlepszym kosmetykiem dla twarzy i rąk jest mydło i woda. Dla osób, mających skórę delikatną, łatwo pryszczącą i łuszczącą się, odpowiednie są mydła żółtkowe. Dla skóry twardej, dużo tłuszczu wydzielającej, odpowiednie jest mydło alkaliczne. Przy usposobieniu do pryszczenia, dobrem jest dodawanie nieco boraksu do wody przy myciu się. *X.*

Żywcem pogrzebany.

Powieść z włoskiego.

5) Tłomaczyła P. Otrys.

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy).

Więc pan chcesz ubrania — no, no, wyszukam zaraz....
I przerzucał szybko stosy rzeczy.

— Znalazłem, — zawołał nareszcie, — to będzie dobre! Może pan jesteś poławiaczem korali, w takim razie ubranie wybornie dobrane! Czerwony pas, czapka jak nowa! Ten kto je nosił, był młody i silny — utopił się — ha, ha...

— Czemu? — zapytałem, — czy też poprzednio zamordował swoją żonę?

— Nie, ten był głupi i sobie odebrał życie!

— Przypadkiem czy umyślnie?

— Ba, on wiedział, co robi! Stało się to przed dwoma miesięcami — z powodu pewnej czarnookiej dziewczyny, która teraz bawi się wesoło w Lorrencie. Młody ten rybak przywiózł jej z podróży perły i korale, ale ona nie chciała tego przyjąć. Prosił i błagał, ale ona stanowczo odmawiała. I w końcu rozgniewana zawołała:

— Daj mi pokój, znudziłam się już tobą! Kocham innego!

Wtedy on zbladł jak ściana, nie przemówił ani słowa, odszedł, i wskoczył w morze.... Nazajutrz wyrzuciła woda jego ciało na brzeg. — — Kupiłem rzeczy za dwa franki — daj mi za nie cztery — —

— A co się dzieje z dziewczyną? — spytałem.

— Mówiłem już, ona bawi się wesoło! Co tydzień ma innego kochanka!

Wyciągnąłem teraz pieniądze i położyłem je na stole.

— Chcecie cztery franki, — rzekłem, — macie tu sześć, ale wskażcie mi jaki kącik, w którym się ubrać mogę! To ubranie zatrzymam!

— Naturalnie, naturalnie! Takiemu wspaniałomyślnemu panu uczynię wszystko, co mogę. Tutaj śpię — nie jest to duży pokój, ale tam wisi lustro, jej lustro — jedyna po niej pamiątka....

I wprowadził mnie do małej, ale dosyć czystej izdebki, której jedyną ozdobą było wspaniałe, w srebro oprawne zwierciadło. Umiałem ocenić wartość jego, ale nie śmiałem w nie spojrzeć.

Handlarz pokazał mi sztuczny zamek przy drzwiach i uśmiechnął się dumnie.

— To moja robota, — rzekł, — patrz pan, jaki mocny! Byłem niegdyś bardzo biegłym w sztuce ślusarskiej, ale od owej chwili — wiesz pan — zapomniałem wszystko....

Po tych słowach wyszedł, a ja zostałem sam. I teraz pobiegłem natychmiast do zwierciadła i krzyknąłem przerażony. Nie poznałem sam siebie!

Byłem starcem! Oczy zapadłe, wyraz w nich dziki, twarz pomarszczyła się, a na domiar złego były włosy moje bieluteńkie! Wyglądałem tak, jak gdybym miał sześćdziesiąt lat!

Pojąłem teraz strach chłopca, sprzedawającego owoce, powierzchowność moja była rzeczywiście odrażająca!

Czy mnie Nina pozna? albo Gwidon?

Zwątpiłem o tem i gorżkie łzy rozpaczy stanęły mi w oczach.

Ale otarłem je szybko.

— Wstydź się Fabio, — zawołałem, — co ci tak na tem zależy, że twarz twoja postarzała! Byleby serce pozostało zawsze równe. Bądź mężczyzną! W pierwszej może chwili przestraszy się Nina, ale gdy usłyszy, żeś ty przeszedł, pokocha cię więcej jeszcze, niż dotychczas! Jedna jej pieszczota wystarczy, aby cię pocieszyć i wynagrodzić wszystko, co wycierpiałeś dzisiejszej nocy!

I dodawając sam sobie odwagi, ubrałem się w rzeczy neapolitańskiego poławiacza korali, i znów spojrzałem w lustro. Ale tym razem uśmiechnąłem się. Czapka siedziała dobrze na pełnych, białych kędziorach, a nadzieja blizkiego szczęścia nadawała moim oczom więcej blasku i twarz pokryła się lekkim rumieńcem.

Gdy wyszedłem z pokoju, spojrzał tandeciarz zdziwiony na mnie.

— Jaki pan jesteś przystojny człowiek, rzekł. Szkoda, że taki już stary! W młodości musiałeś pan bardzo być silny, nieprawda?

Na wpół z żartów, na wpół z chęci popisania się odwinąłem rękawy i pokazałem mu moje muszkuły.

— Pomimo wieku, odpowiedziałem, mam dużo jeszcze siły!

Starzec podziwiał moje ramiona.

— Jak żelazo, szepnął. Dla pana byłoby drobnostką zabić kogo! Ach, dawniej umiałem świetnie władać bronią, ale dziś... Pan jednak zabiłbyś człowieka jednym zamachem.

Czemu on mi ciągle mówił o zabijaniu ludzi? Przecież ja nikogo mordować nie chciałem!

Byłem teraz zupełnie ubrany i mogłem wracać do domu. Ale nie chcąc przerażać zanadto Niny, postanowiłem zaczekać aż do wieczora, wsunąć się niepostrzeżenie do pałacu i rozmówić się najpierw z moim kamerdynerem, potem zawołać Gwidona, który Ninie miał oznajmić tę radosną nowinę i zarazem przygotować ją na moją zmienioną powierzchowność.

— Idziesz pan daleko ztąd? zapytał stary.

— Tak, bardzo daleko, odrzekłem.

I pożegnawszy go krótko, odszedłem zwolna.

Raz jeszcze obejrzałem się. Tandeciarz stał na progu, usta jego były wykrzywione strasznym uśmiechem, a palce wykonywały nieustannie dziwne jakieś ruchy w powietrzu, jak gdyby dusiły jakiś niewidzialny przedmiot.

Zwróciłem się w inną, więcej ożywioną ulicę, ale w uszach brzmiały mi ciągle słowa jego.

— Idź i zabij ją!

ROZDZIAŁ VII.

Dzień ten wydawał mi się nieskończonym. Chodziłem po mieście mało spotykając znajomych, bo nikt z obawy przed cholerą, nie opuszczał domu — na każdym rogu ulicy szły pogrzeby — przed jednym z domów ujrzałem ludzi, wtłaczających gwałtem zmarłego w za ciasną trumnę. Słyszałem trzask łamiących się kości i zadrżałem z przerażenia i wstrętu.

— Przekonajcie się najpierw, rzekłem, czy on też doprawdy umarł!

Jeden z mężczyzn spojrzał na mnie i rozśmiał się.

— O, ten umarł. Cholera nie żartuje.

I mówiąc to uderzył kawałem drzewa z całej siły w głowę nieboszczyka.

Do jakiego stopnia dochodzi zbydlęcenie człowieka.

Nie mogłem patrzeć na coś podobnego i poszedłem dalej.

Na następnej ulicy zauważyłem wielkie zbiegowisko ludzi.

— Król! Król! szeptano w około.

Wszyscy stawali i patrzeli w jednym kierunku, więc i ja stanąłem. I zaraz też ujrzałem idącego spiesznie naszego ukochanego monarchę, w towarzystwie kilku panów. Król był poważny i spokojny. Obchodził on najciemniejsze zaułki, najgorsze jaskinie, gdzie najwięcej szalała cholera, i nie palił nawet papierosa, aby chociaż trochę zapobiedz zarazie. Szedł, jak bohater z smutną twarzą, jak gdyby cierpienia jego ludu ciężyły na jego sercu. Gdy się zbliżył do mnie, zdjąłem czapkę i pochyliłem głowę z najwyższem uszanowaniem. Król spojrzał na mnie, ukłonił się, i poszedł dalej.

I on mnie nie poznał, a przecież bywałem częstym u niego gościem. Lubił on mnie bardzo i zapraszał kilka razy na rok, na polowania i na bale dworskie. Ale hrabia Romani przestał istnieć, miejsce jego zajął siwowłosy rybak.

Poszedłem teraz za królem, który wchodził do najbrudniejszych chat, rozmawiał serdecznie z rozpaczającymi pozostałymi i rozdzielał ubogim złoto i srebro. Matki błagały go, aby błogosławił ich dzieci, dorośli klękali przed nim i całowali jego nogi. Jakaś młoda dziewczyna rzuciła się na ziemię i krzyknęła z zapałem:

— Jestem uratowaną! Zaraza nie idzie tam, gdzie szedł król!

Humbert spojrzał na nią, uśmiechnął się łagodnie, i milcząc, udał się do innego domu, z którego dzikie rozlegały się krzyki przekleństwa.

— Co się tu dzieje? zapytał król, otwierając drzwi.

Przez chwilę śmiertelna zapanowała cisza.

Potem wystąpiła jakaś niemłoda już kobieta i zbliżyła się do monarchy.

— Niech cię Bóg błogosławi, królu, rzekła śmiało. Pytasz, co się tu dzieje? Wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby te łotry grabarze zostawili nas w spokoju. Oni wolą zabić człowieka, niż czekać chwilę. Dziewczyna umarła, ale Jan trzyma ją, i nie chce im oddać jej ciała! Nie rusza się biedak z miejsca. Czekamy tylko na księdza, on Jana nakłoni do ustąpienia....

Król podniósł rękę — tłum usunął się i tak weszli wszyscy do izby. Ja stanąłem przy otwartem oknie, zkąd mogłem wszystko wygodnie słyszeć i widzieć.

Król zdjął kapelusz.

Na słomie leżał trup cudownie pięknej młodej dziewczyny — koło niej klęczał, obejmując czule jej głowę jakiś mężczyzna. Był to obraz niezmiernie wzruszający.

— Klęczy on tak już od dwóch godzin, szepnęła kobieta. A trzyma ją tak mocno, jak gdyby miał ręce z żelaza.

Król zbliżył się do młodzieńca, dotknął jego ramienia i rzekł miękko:

— Przyjacielu! Synu mój!

Ale żadnej na to nie otrzymał odpowiedzi.

Kobiety, wzruszone, zaczęły płakać, i mężczyźni starli łzę z oka.

— Synu mój, rzekł znowu monarcha. Jestem twoim królem, a ty nie pozdrowisz mnie nawet?

Młodzieniec podniósł głowę i wpatrzył się w twarz króla.

Zdawało się, że to obłąkany.

— Podaj mi rękę, odezwał się król łagodnie, ale stanowczo.

Rozpaczający, jak gdyby ulegając niewidzialnej sile, podał mu rękę i wstał.

— Miłość nie umiera, szepnął Humbert. Pamiętaj o tem!

Młodzieniec zachwiał się i nagle — głośnym wybuchnął płaczem.

Łzy te ocaliły mu rozum, a może i życie! Król wyprowadził go do przyległej izby, dając znak grabarzom, aby wynieśli trupa, i w jednej chwili został rozkaz już wykonany. Tłum szalał z uniesienia nad postępowaniem króla. Uważano go nieomal za świętego.

Nieco później poszedłem do gospody Piotra, tam, gdzie wczoraj zachorowałem. Poczciwy Piotr stał znowu przy swoich półkach i czyścił butelki i szklanki — tak, jak gdyby wczorajszej roboty wcale sobie nie był przerywał — tam, na stronie zaś stała zawsze jeszcze ta ławka, na której leżałem i umarłem. Gdy wszedłem do pokoju, pozdrowił mnie gospodarz i zapytał, czego sobie życzę. Zamówiłem kawy i chleba i wziąłem do ręki pierwszą lepszą gazetkę.

— Mieliście dobry połów? zapytał Piotr, stawiając przedemną filiżankę.

W pierwszej chwili zapomniałem, że jestem rybakiem i zdumiony, spojrzałem na niego, ale zaraz potem roześmiałem się i odpowiedziałem:

— O tak, bardzo dobry! Jakże tam z cholerą? dodałem obojętnie.

— Ludzie umierają jak muchy! Wczoraj nawet, ach, ktoby to był myślał!

— Co się stało wczoraj? zapytałem, pomimo, że widziałem, jaką na to odpowiedź otrzymam. Jestem tu zupełnie obcy i nic nie wiem, co się w Neapolu dzieje!

— Słyszeliście o bogatym hrabiu Romani? zaczął Piotr.

— Nie!

— To nic nie szkodzi, bo on teraz już nie żyje. Umarł. Ludzie mówią, że on bardzo był majętny, że miał tyle pieniędzy, jak nasz król, i co mu to pomogło? Ojciec Cyprjan z klasztoru Benedyktynów przyprowadził go tu wczoraj — zapadł na cholerę i w przeciągu pięciu godzin — umarł! Leżał na tej ławie. Przed zachodem słońca pochowano go. Zdaje mi się zawsze jeszcze, że to wszystko jest snem.

— I cóż to dziwnego, rzekłem. Pieniądze nie mogły go przed śmiercią uchronić, czy biedny, czy bogaty — każdy umierać musi.

— To prawda! Biedny Cyprjan też tego doświadczył.

— Kto?

— Mnich z klasztoru Benedyktynów. Święty to był człowiek! Przyprowadził on hrabiego do mnie!

Serce moje zadrżało boleśnie.

— Więc on nie żyje? szepnąłem.

— Tak umarł śmiercią męczennika! Zapewne zaraził się od hrabiego. Pokropił jeszcze jego ciało i położył mu srebrny krzyż na trumnę. Zegarek, pierścionki i papierośnicę oddał młodej hrabinie.

— Czy hrabina bardzo jest zmartwiona? zapytałem z bijącem sercem.

— Zkądże ja mogę o tem wiedzieć? Ojciec Cyprjan powiadał mi, że zemdlała, ale co to znaczy? Kobiety mdleją na widok myszy. Ojciec Cyprjan był jeszcze na pogrzebie hrabiego, a dziś rano umarł. Ach, to święty był człowiek.

Odsunąłem filiżankę. Nie mogłem pić.

— Nie smakuje wam kawa? — zapytał Piotr.

— Nie, opowiadanie wasze zepsuło mi apetyt. Smutnie teraz w Neapolu, o niczem innem nie słychać, jak o cholerze!

— Niestety! Ale cóż robić! Bóg chce tego!

W tejże chwili spojrzałem przez okno i o mało nie krzyknąłem głośno.

Na ulicy spostrzegłem Gwidona!

Szedł on wolno, z podniesioną głową, uśmiechnięty i swobodny, a na surducie jego jaśniała świeża, czerwona, róża, jedna z moich ulubionych róż na tarasie pałacowej.

Dziwne uczucie ogarnęło mnie na ten widok! Gwidon był szczęśliwy i zadowolony — tak szczęśliwy, jak już go dawno nie widziałem, a wczoraj przecież umarł najlepszy jego przyjaciel! Uśmiechał się, jak gdyby szedł na zabawę i stroił się w czerwone róże? To nie był znak żałoby!

Ale zresztą — co tam znaczy róża! I czemu nie miał się uśmiechać? Różę dała mu zapewne Stella i uśmiechał się jeszcze teraz na wspomnienie dziecka — wszystko więc było wytłómaczone! Do wieczora nie daleko i wtedy wyjaśni się cała ta sprawa!

— Ile mam do zapłacenia? — zapytałem Piotra.

— Ile chcecie! Z rybakami załatwiam się tak zawsze — gdyby były lepsze czasy, dałbym wam chętnie podwieczorek za darmo. Dawniej nie brałem nigdy od rybaków zapłaty, ale teraz....

Dałem mu dwa franki, co go niezmiernie ucieszyło.

— To za wiele, — rzekł, — ale jeżeli możecie dać tyle tem lepiej dla was i dla mnie!

Pożegnałem go i chodziłem dalej po ulicach, oczekując niecierpliwie zmroku.

ROZDZIAŁ VIII.

Nareszcie nadszedł gorąco upragniony wieczór. Na niebie zajaśniały miliony gwiazd i lekki wiatr chłodził przyjemnie rozgrzaną atmosferę.

Teraz nic mi już nie stało na przeszkodzie, i biegłem szybko znaną mi ścieżką do willi Romani.

Serce biło mi gwałtownie, członki drżały z wzruszenia, i nigdy jeszcze droga ta nie wydawała mi się tak nieskończenie długą, jak dzisiaj.

Nareszcie doszedłem do bramy, która była zamkniętą. Ogromne lwy kamienne patrzały groźnie na mnie, jak gdyby pytać chciały, czego tu chce ten obcy przybysz?

Aż tu dotąd dochodziła woń kwiatów i szmer fontanny, i z rozkoszą oddychałem powietrzem mego ogrodu, moich jaśminów i mirtów.

Nie mogąc wejść główną bramą, zwróciłem się ku małym drzwiczkom w murze ogrodowym wiodącym na długą aleją plantanową, moje ulubione miejsce przechadzek. Oprócz mnie, nikt tu prawie nie chodził — czasem towarzyszył mi Gwidon, zwykle jednak przechadzałem się tam zupełnie sam, z książką w ręku, lub cygarem. Zamierzałem z tej strony zbliżyć się do willi i zapukać do okna pokoju Assunty, niańki Stelli. Stara Assunta posiwiała w służbie naszej rodziny i mnie także od dziecka wychowała.

Stare drzewa szumiały uroczyście, gdy wszedłem do ogrodu, słowiki śpiewały, a srebrne promienie księżyca drżały na ciemnych liściach platanów. Namiętna tęsknota owładnęła teraz całą moją istotę — za chwilę przycisnę do serca Ninę, Stellę i Gwidona... o Boże! Jakie zupełne, doskonałe szczęście!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

17) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

— Bardzo chętnie, — rzekł Balmat, — nie wiem tylko teraz jeszcze, kogo przyślę, bo zmusić o tej porze nie mogę żadnego przewodnika. Musi się jeden z nich dobrowolnie meldować! Chodzi tu o życie, pani hrabino!

— A więc jutro ze wschodem słońca oczekuję czwartego, — rzekła hrabina tonem, nie znoszącym żadnej opozycyi.

Gdy po upływie pół godziny znalazła się hrabina sama z Antonim w domu Ravanela, rzekł poczciwy góral, ze łzami w oczach:

— Wobec innych nic już nie mówiłem, ale teraz, gdy jesteśmy sami, błagam cię, Najjaśniejsza Pani, nie chódź na tę górę! Pomyśl pani cesarzowo, gdyby cię jakie nieszczęście spotkało!

— Cicho Antoni, — szepnęła cesarzowa, podróżująca tu pod nazwiskiem hrabiny Hohenfels, — zakazałam ci używać tutaj tego tytułu! Jestem hrabina tylko! Nikt nie ma wiedzieć, że cesarzowa austryacka weszła na Montblanc, bo właściwie nie powinnam tego uczynić! Ale nie mogę się oprzeć chęci zwalczenia tego dumnego olbrzyma!

— Więc w imię Boskie, idźmy! — zawołał Antoni. — Przysięgam, że prędzej dam się w kawały porąbać, niżby moja cesarzowa miała doznać najmniejszej przykrości!

— Przedewszystkiem, — rzekła Elżbieta teraz, — musimy ratować tę samotną kobietę, błądzącą na szczycie góry.

— Może to jaka obłąkana? — wtrącił Antoni.

— I ja tak myślę! Weszła potajemnie na Montblanc — nie może teraz znaleść drogi z powrotem i wyczekuje tam śmierci samotna i opuszczona.

— Ale czem ona się żywi przez tak długi czas?

— Nie wiem! Jutro przekonamy się o wszystkiem! Więc jutro!

Na drugim końcu doliny Chamouni, w karczmie dosyć podrzędnej, a należącej do jakiejś starej Włoszki, siedziało dwóch mężczyzn, zajętych żywą a cichą rozmową.

Jeden z nich wysoki, silny, o pięknej, śmiałej twarzy, otoczonej czarnym zarostem, i wielkich dziko błyszczących oczach, zdradzał na pierwszy rzut oka Włocha, drugi nizki, jasnowłosy, wyglądał jak Anglik.

Rozmowę prowadzili w języku francuskim.

— Przyjechała, — szeptał Anglik, — i wejdzie na Montblanc! Nie napróżno szpiegujemy ją od trzech miesięcy!

— A jesteś pewnym, panie Velly, że to ona? — zapytał Włoch. — Może to jaka inna dama, podobna do niej? W takim razie nie śniłoby mi się narażać mego życia!

— Możecie być pod tym względem zupełnie spokojni, — odrzekł Velly, — hrabina Hohenfels jest napewno cesarzowa austryacka! W Genewie zostawiła cały swój orszak, pod pozorem zwiedzenia doliny Chamouni, nikt bowiem nie ma wiedzieć, że cesarzowa Austryi wchodzi na Montblanc! Hej, Malatesto, macie wyborną sposobność wykonania zamiaru — tam, w regionach śniegu i lodu nikt was nie schwyci na gorącym uczynku! Gdyby trzej inni przewodnicy spadli z nią razem w przepaść, to w ogóle nie byłoby świadków.

— Ale kto mi zaręczy, że wyjdę cało z tej sprawy? Wejście na Montblanc, to nie spacer codzienny! Jak łatwo mogę to życiem przypłacić!

— Jesteś do tego zobowiązanym Malatesto! Złożyłeś przysięgę, że nie cofniesz się nawet przed śmiercią, gdy chodzi o dojście do celu! Ukoronowane głowy muszą spaść pod naszymi ciosami! Pomyśl tylko, jakie wrażenie na świat cały wywrze wiadomość, że cesarzowa Elżbieta zginęła! Ludzie domyślą się zaraz, że to sprawka „Czerwonej Ręki!“ Ludzie mają drzeć ze strachu przed nami i poznać, że nasza potęga sięga aż do tronów cesarzy!

— A gdybym odmówił posłuszeństwa? szepnął Malatesta. Czemu właśnie mnie wybraliście do tego?

— Gdybyś odmówił, rzekł Anglik zimno, to nie dałbym fenyga za twoje życie! Kto na rozkaz Czerwonej ręki nie zabija, ten zostanie z jej rozkazu zabitym. Tchórze, i zdrajcy bywają ciężko karani.

— Nie jestem zdrajcą, oburzył się Malatesta, i tchórzem też nie. Nie każdy zdziałałby to, co ja! Kto panuje w Sycylii? ja! Kto jest założycielem Maffii? ja! Ale zabijać bezbronną kobietę — to mi się nie podoba! Postawcie mnie naprzeciw trzech uzbrojonych mężczyzn — dobrze, stanę śmiało i będę walczyć do upadłego. Kobieta jednak...

— Tak być musi! rzekł Nelly stanowczo.

— No, więc będzie! A jeżeli się nie powiedzie, to nie moja wina, brzmiała szorstka odpowiedź Malatesty.

— Ja wiem cobym zrobił, aby zostać czwartym przewodnikiem cesarzowej, rzekł Nelly.

— Stanę dziś w nocy o pierwszej przed domem Ravanela i ofiaruję temu, którego przyśle Balmat, znaczną sumę pieniędzy, aby mi się pozwolił zastąpić. Myślę, że każdy chętnie na to przystanie, bo...

— Naturalnie, doskonała myśl! A teraz słuchaj, jak masz dalej postępować, dodał Anglik.

I pochyliwszy się ku Malateście, szeptał z nim długo jeszcze, układając haniebny, zbrodniczy plan, zamordowania najszlachetniejszej w świecie kobiety! —

ROZDZIAŁ XXXIV.

W śniegu i lodzie.

Nazajutrz z wschodem słońca wstała cesarzowa i zabierała się żywo do swej niebezpiecznej wycieczki. Pogoda była dziś prześliczna, lekki tylko wietrzyk wiał z zachodu, chłodząc nieco powietrze. Olbrzym, pokryty lodem, zdawał się być dziś w dobrym humorze i witać dostojną panią, pragnącą zawrzeć z nim znajomość.

Cesarzowa odmówiła poranne pacierze, ubrała się szybko w zwykły kostjum górski i zaczęła pić mleko, przyniesione jej przez służącą Dinę. Młoda dziewczyna była dziś niespokojna i oczy jej nosiły widocznie ślady łez.

Cesarzowa znowu patrzała na nią uważnie.

— Zdaje mi się, rzekła, że ja ciebie raz już w życiu widziałam! Nie mogę sobie jednak przypomnieć, gdzie. Nie wyglądasz wcale na prostą służącą — ale nie myślę zmuszać cię do zdradzania twej tajemnicy!

Dina spuściła oczy.

— Nie chcę pani hrabiny okłamywać, szepnęła drżącym głosem. Nie jestem służącą — ale nałożyłam to sama sobie na pokutę za ciężkie przewinienia, jakich się dopuściłam.

— Bardzo słusznie. Za grzechy trzeba pokutować! Poniżyłaś się dobrowolnie, kiedyś więc będziesz podwyższoną!

Szybkim ruchem ujęła Dina rękę cesarzowej i ucałowała ją gorąco. Potem wybiegła z pokoju.

— Kto to może być? myślała Elżbieta. Przypomina mi ona — księżnę Bassano! Ten sam kolor włosów — tak to ona! Jestem tego pewną! Cóż ją nakłoniło do tego przebrania się? Muszę tę rzecz zbadać!

Po upływie kilku minut byli wszyscy gotowi i stali przed domem.

— Gdzie czwarty przewodnik? zapytała cesarzowa. Nie bardzo jakoś punktualny.

W tejże chwili ukazał się Malatesta w ubraniu przewodnika i biegł szybko ku domowi Ravanela.

— To jakiś obcy, rzekł Ravanel. Nie znam go! Nigdy go tu jeszcze nie widziałem!

— Jestem przewodnikiem dla hrabiny Hohenfels, odezwał się teraz Malatesta spokojnie. Właściwie miał iść Simon, ale zachorował nagle. Jestem jego szwagrem, nazywam się Testa i zastąpię go.

— Czy pan Balmat wie o tej zmianie? spytał stary Ravanel.

—Wie, właśnie idę od niego i dlatego spóźniłem się trochę.

— Dobrze, rzekła cesarzowa idźmy!

— Ten człowiek nie podoba mi się, szepnął Antoni, możeby jednak iść jeszcze raz do pana Balmata....

— Pod żadnym warunkiem! Tracimy coraz więcej czasu!

Przewodnik Simon tymczasem nie otrzymał ani grosza i spał w najlepsze, bo przed dwiema godzinami zapukał Malatesta do jego okna i powiedział mu, że hrabina dziś na Montblanc nie idzie. Uwierzył naturalnie i uradowany, że iść nie potrzebuje, usnął natychmiast. Malatesta zatrzymał pieniądze dla siebie.

Floryan tymczasem rozmawiał jeszcze przed domem z Diną.

— Nie namyśliłaś się inaczej? szepnął.

— Nie! Nie kocham pana! Zapomnij pan o mnie!

— Dobrze już, dobrze! Podaj mi rękę na pożegnanie — po raz ostatnii....

Dina miała łzy w oczach.

— Pamiętaj pan o swym starym ojcu, rzekła. On ciebie jednego ma tylko na świecie.

Floryan odwrócił się szybko.

Teraz dosiedli wszyscy mułów, chcąc dojechać aż do Pierre Pointne, potem trzeba było iść dalej pieszo.

Cesarzowa jechała sama naprzód, a twarz jej najwyższą promieniała radością. Za nią jechali przewodnicy.

— Mnie się ów Testa wcale nie podoba, mówił Antoni cicho do starego Ravanela.

— Mnie też nie, odrzekł tenże, i żałuję teraz, że jednak nie poszedłem jeszcze raz do Balmata. Życie nam przecież miłe, i gdy będziemy wszyscy związani sznurem — jedno fałszywe stąpnięcie.

— Ach, on jest pewnie zręcznym, ale wyraz jego oczu jest złośliwy i nieprzyjemny....

— Cicho, cicho! Trzeba uważać na niego.

— Gdybym zauważył coś podejrzanego, zastrzeliłbym go, jak psa, szepnął Antoni, zaciskając pięści.

Po przybyciu do Pierre Pointne, zostawiono muły, i podróżni musieli iść pod górę stromą i niewygodną ścieżką, co trwało blizko półtorej godziny.

Cesarzowa wzbudzała podziw w swych towarzyszach. Szła ona lekko elastycznie i była zawsze pierwszą. I tak doszli do Pierreal Echelle.

Teraz musieli związać się wszyscy sznurami. Antoni miał w tem wielką wprawę i połączył ich grubą, mocną liną tak, że pomiędzy jedną a drugą osobą było odstępu na trzy do czterech metrów. Pierwszym był stary Ravanel, potem cesarzowa, za nią Antoni, Testa, a w końcu Floryan. Tym sposobem można było kontrolować każdy ruch Testy.

Przedewszystkiem chodziło o to, aby obejść niedostępny prawie lodowiec Bossons. Porozrywany na wszystkie strony głębokiemi szczelinami, zionął mnóstwem przepaści, których głębiny nikt nie znał.

Wszyscy szli w milczeniu, zapatrzeni w roztaczające się tutaj cuda lodowej przyrody.

— Most śnieżny, zawołał nagle stary Ravanel.

Ogromna śnieżna płaszczyzna ciągnęła się po drugiej stronie strasznej przepaści. Ravanel rozłożył drabiny, wszyscy przeszli po nich, i odetchnęli. Takie przejścia bywają czasem bardzo niebezpieczne. Teraz też okazało się, jak wielką pomocą jest związanie podróżnych liną. Jeden ciągnie drugiego, i ułatwia mu wchodzenie pod górę Potem jednak trzeba było zważać na inne niebezpieczeństwa, mianowicie tam, gdzie groziły lawiny śnieżne. Najmniejsze trącenie takich kolosów, a nawet drgnienie atmosfery mogło wprawić w ruch te ogromne góry śniegu. Wtedy byliby podróżni zgubieni, bez ratunku!

— Proszę tu nie mówić ani słowa, — szepnął Ravanel, — idźmy za to jak najprędzej naprzód!

Po szczęśliwem ominięciu tego niebezpieczeństwa, stała się droga bardzo uciążliwą, ale widok, jaki się ukazał oczom podróżnych, wynagradzał im sowicie wszelkie trudy. Niebotyczne skały, pokryte śniegiem, lodowce, błyszczące milionami brylantów w wschodzącem słońcu, zachwycająca gra kolorów na śniegu, wszystko to było tak piękne, tak cudowne, że ani pędzel malarza ani pióro poety nie zdolne tego przedstawić.

Twarz cesarzowej jaśniała szczęściem.

I niezmęczona, szła żywo dalej.

Na Grands Mulets wypoczęli wszyscy i pokrzepili się lekką przekąską oraz kieliszkiem wina. Dla cesarzowej rozłożono starannie derę, ale Elżbieta żądała, aby przewodnicy również rozłożyli się na niej, a nie na zmarzniętym śniegu.

Ravanel i Antoni skorzystali z jej dobroci — Floryan oddalił się nieco, i smutnie zamyślony patrzał w dal — Testa zaś rzucił się na śnieg i leżał nieruchomy.

— Pani hrabino, — odezwał się cicho Antoni, — ten Włoch niepodoba nam się. Zostawmy go dziś w chacie, w której przenocujemy — niech tam czeka na nas, aż wrócimy ze szczytu...

— Tak, tak, — potwierdził Ravanel, — jemu tam na niczem zbywać nie będzie!

— Ja nie wiem, — odrzekła Elżbieta, — czego wy chcecie od tego człowieka. Nie uczynił przecież nic takiego, co by mogło wzbudzić jakie podejrzenie...

— Ale są twarze, — przerwał Ravanel, — którym się niedowierza!

— Nie można go jednak obrażać okazywaniem nieufności! Niech idzie z nami!

Po chwili byli znowu wszyscy związani liną w tym samym porządku i szli żwawo dalej.

Droga wiodła coraz wyżej i wyżej. Teraz trzeba było wziąść siekiery do pomocy i w lodowych ścianach wykuwać schody. Było to bardzo uciążliwe i mozolne i każdy krok dużo kosztował trudu.

Nareszcie po dwugodzinnych mozołach stanęli szczęśliwie na szczycie lodowca.

Tu ztąd wspaniały był widok na Montblanc. Olbrzym przedstawiał się w całym swoim majestacie, ale jak długą była jeszcze droga na jego szczyt.

Obecnie pragnęli podróżni dojść do chaty, i tam zanocować, a nazajutrz dopiero w dalszą puścić się podróż. Dach owej chaty widniał z daleka, i chodziło jeszcze tylko o przebycie jednej niebezpiecznej przepaści — potem rozciągała się równina i można było iść o wiele prędzej.

Z jednej strony sterczały niebotyczne ściany lodowców — z drugiej otwierała się straszna przepaść, a ścieżka wiodąca tędy była tak wązką i niebezpieczną, że jedno fałszywe stąpnięcie stawało się bezpośrednią przyczyną śmierci pięciu osób, złączonych liną.

To też każdy wyłącznie sobą był zajęty, a nawet Antoni i Floryan przestali na chwilę obserwować Testę.

Włoch zauważył to i postanowił wyzyskać korzystną sposobność. Spojrzał szybko w przepaść i uśmiechnął się. Kto tam spadnie — po tego trupa iść nawet nie warto — przepaść, tysiąc metrów głęboka i najeżona spiczastemi skałami, nie wydaje swoich ofiar!

Zwolna wsunęła się ręka Włocha w kieszeń i wyjęła ostry, angielski nóż.

Przeciąć jednym zamachem linę, a stary Ravanel, cesarzowa i Antoni znikną w mgnieniu oka w otchłani — pozostawał więc jeden tylko Floryan.

— Ba, z tym dam sobie radę, — pomyślał Malatesta pogardliwie.

I podniósł rękę do śmiertelnego ciosu!

W następnej s..u dzie rozległ się przerażający krzyk.

Malatesta doznał w pierwszej chwili tak gwałtownego wstrząśnienia, że o mało nie potoczył się w przepaść

A gdy teraz spojrzał przed siebie — nie widział nikogo — —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nie mów...

Nie mów, że wszystko ginie wśród burz,
W odmęcie życia tonie —
Że nigdy blask ci słoneczny już
Na niebie nie zapłonie!...

Choćby ci wierzeń zburzono gmach,
Rozwiano sen tęczowy —
Po co się skarżyć w smutku i łzach?
Na gruzach stawiaj nowy!

Bo kto młodzieńczych nie straci złud,
Swą glebę z wiarą orze —
Temu, gdy w nowy iść będzie trud,
Zabłysną szczęścia zorze!

Tadeusz Kończyc.

Wiadomości.

— **Spisy** wyborcze obywateli uprawnionych do wyborów rajców miejskich wyłożone są od 15 do 30 b. m. w godzinach służbowych na starym Ratuszu. Zwracamy uwagę na te spisy i zachęcamy obywateli, aby przekonali się, czy w nich są pomieszczeni.

Odezwę Komitetu wyborczego miasta Poznania w tej sprawie dołączamy dla abonentów miejscowych do dzisiejszego numeru „Pracy“.

— **Strach przed Włochami.** „Posener Ztg.“ pisze:

„Z powodu strejku murarzy i cieśli sprowadzono tu podobno 150 Włochów. Zwracamy uwagę policyi, aby tych Włochów miała na oku i wyekspedyowała ich z Poznania przed końcem sierpnia. Włochy hodują, jak wiadomo, kwiat anarchizmu.“

— **130 policyantów,** jak donoszą pisma niemieckie, sprowadzą do Poznania na czas pobytu cesarza.

— **W niedzielę** 13 bm. odbyła się w parku Wiktoryi zabawa latowa Tow. Młodych Destylatorów, która nadspodziewanie dobrze wypadła. Starano się zabawić panie i panów rozmaitemi grami, a później tańcami na wolności. Do polonezu stanęło przeszło 100 par. Następnie puszczano balony figurowe, a wieczorem oświetlono ogród rzęsiście lampionami i odpalono ognie sztuczne. Ogni sztucznych jako też lampionów i balonów dostarczył ku ogólnemu zadowoleniu młody i rzutki kupiec p. Kazimierz Chmielewski, Wrocławska ul. 13/14.

Zabawy, mianowicie tańce, przeciągły się późno w wieczór; bawiono się ochoczo i znakomicie.

— **Wielbicielom** pieśniarki naszej **Maryi Konopnickiej** donosimy, że arkusze do podpisywania adresu dla jubilatki znajdują się:

w Poznaniu: w Czytelni dla Kobiet ul. Strzelecka 3 b.
w ekspedycyi „Dziennika Poznańskiego.“
w Gnieźnie: w eksped. „Lecha.“
w Inowrocławiu: „ „Dzien. Kujawskiego“
w Ostrowie: w eksped. „Gazety Ostrowskiej“
w Toruniu: „ „Gazety Toruńskiej“
w Gdańsku „ „Gazety Gdańskiej“
w Grudziądzu: „ „Gazety Grudziądzkiej“
w Berlinie: „ „Dzien. Berlińskiego“ u pani Jedwabskiej (Hotel Metropole p. Lipami)
w Wągrówcu: u pani radczyni Kolszewskiej
w Miłosławiu: „ Kościelskiej
w Pleszewie: „ doktorowej Likowskiej
w Kościanie: „ „ Zawadzkiej
w Środzie: „ Kubickiej
w Ostrzeszowie: „ Maryi Gorgolewskiej w rynku
w Krobi: „ doktorowej Kutznerowej
w Koźminie: „ mecenasowej Czypickiej
w Buku: „ Ewy Siuchnińskiej

Komitet jubileuszowy poznański.

— **„Komar“,** miesięcznik satyryczno-humorystyczny, wychodzący drugi rok w Poznaniu, z powodu uwięzienia wydawcy na przeciąg sześciu miesięcy, przez ten czas wychodzić będzie bez rycin i w zmniejszonym formacie. Szanowni czytelnicy raczą to uwzględnić z uwagi na wyjątkowe stosunki, w jakich obecnie żyjemy. Wydawca liczy na to, że uznając potrzebę dalszego istnienia „Komara“, czytelnicy w tym czasie krytycznym pozostaną mu wierni i nie pozwolą mu upaść, z czegoby przeciwnicy nasi bardzo się cieszyli. Wydawca ze swej strony przyrzeka, że po uwolnieniu postara się wynagrodzić chwilowe niedostatki pisma.

— **Wyszło drukiem** pożyteczne dzieło, które z języka niemieckiego przyswoił polskiemu zasłużony dyrektor Banku Związku Spółek Zarobkowych, dr. Kusztelan p. t.: „Z przeszłości i teraźniejszości niemieckich Stowarzyszeń Spółkowych. Przyczynek do historyi niemieckich Stowarzyszeń, skreślił dr. Hans Crüger, patron ogólnego Związku na samopomocy opartych niemieckich Spółek Zarobkowych i Gospodarczych.“ Tłomaczenia dokonał dr. Kusztelan za zezwoleniem autora, z którym w bliskich pozostaje stosunkach.

Drugą część dzieła stanowi znakomita własna praca dr. Kusztelana p. t.: „Kilka uwag o organizacyi i rozwoju Spółek polskich pod panowaniem pruskiem.“

Książka ta winna być w posiadaniu wszystkich czynników, działających w naszych Spółkach i wogóle powinna być w ręku wszystkich obywateli, zajmujących się tyle ważną dla naszego wewnętrznego odrodzenia sprawą Spółek zarobkowych i gospodarczych.

— **Wolsztyn.** Pan W. Domagalski, mistrz szewski, nabył posiadłość na Górnej ul. za 5000 mr. od pani Adamowicz, Niemki. Posiadłość ta była przez 100 lat w obcych rękach. Szczęść Boże nabywcy!

— **Mogilno.** Na subhaście w sądzie mogilnickim kupił p. Józef Stark gospodarstwo Szczepankowo nr. 9 i zaraz takowe sprzedał p. Stanisławowi Popielarzowi ze Szczepanowa za 24,000 M.

Folwark Grunwaldów w Chróstowie pod Dąbrową w powiecie Inowrocławskim około 300 mórg kupił p. Józef Stark z Mogilna i już rozparcelował.

Nabywcami są p.p.: Ludwik Dratwa, Wojciech Saja, Wojcich Urbański, Wojciech Kołtuniak.

— **Żnin.** Na odbudowanie wieży kościoła parafialnego w Żninie złożyli w dalszym ciągu pp. J. Kujawa z Słembowa 2 m., J. Chmielewski z Thale (Harc 3 m., mecenas Wierzbicki z Bydgoszczy 10 m., M. Cielęcka z Buffalo w Półn. Ameryce 3 m., zebrane na ślubie S. Morawskiego w Poznaniu 6,80 m., F. Moszyński z Wągrówca 3 m., Nowakowska, T. Pudelewicz, Osińska, M. Ziółkowski, J. Król po 1 m., Polcyn 2 m., Stróżyński, Kosmowski, Pępka, Stern po 50 fen. — wszyscy z Mur. Gośliny, F. Kołodziejczak z Jaroszewa 2 m., F. Josiak z Western w Westfalii 5 m., F. Filipiak z Drewna 1 m., I. Skowroński z Strzelna 10 m., E. Jasińska z Bydgoszczy 3 m., pewna osoba z Gniezna 100 m., Guzicki z Chełmży 2 m., A. Domorowicz z Chełmży 1 m., K. Olch z Węgierek p. Otoczno 3 m., M. Dębny z Polwicy 3 m. 5 f., K. Maliski z Szubina 5 m., I. Szymański z Lipska 3 m., T. Drożgowski z Piły 2 m., L. Michalak z Barcina 1 m., M. Strzelewicz z Kierzkowa 1 m. L. Maniewska z Żnina 1 m. 50 f., zebrane w pewnem towarzystwie 9 m., I. P. z Drązgowa p. Gułtowy 2 m. N. N. z Wielichowa 9 M.

„Bóg zapłać!“ „W dwójnasób daje, kto zaraz daje!“ Kto nadeśle stosowną ofiarę, otrzyma piękną wielką fotografię ołtarza, w którym jest umieszczony cudowny obraz

Matki Boskiej Żnińskiej. O dalsze ofiary uprasza

X. Władysław Jasiński,
Administrator."

Ruch w Towarzystwach.

— **Zlot** żupy południowej w **Ostrzeszowie** został odłożony na dzień 3 go sierpnia r. b. Program zlotu będzie w następnych dniach ogłoszony.

Wydział Tow. gimn. „Sokół" w Ostrzeszowie.

— **Gniezno.** Dnia 7-go b. m. odbyło się w grodzie naszym nadzwyczajne walne zebranie „Tow. organistów pod opieką św. Wojciecha na Gniezno i okolicę." Między innemi wygłosił na zebraniu tem p. Drwęski odczyt na temat: „Czy nam potrzeba łączności w Towarzystwach?" Odczyt był starannie opracowany. Prelegentowi podziękowano przez powstanie z miejsc.

Przyszłe walne zebranie Tow. odbędzie się w Trzemesznie dnia 25-go września rb.

— **Inowrocław.** Walne zebranie Tow. organistów odbyło się w mieście naszem dnia 1-go b. m. przy licznym udziale członków i gości. Prezes p. P. Surzyński powitawszy przybyłych, proponował na przewodniczącego Przewielebnego Imci X. Radzcę A. Laubitza, który w krótkiej przemowie uwydatnił ważność stanu organistowskiego.

List i ustawy Związku ułożone przez zarząd Związku Towarzystw organistowskich w Poznaniu przedyskutowano i przyjęto, oprócz § 4., który uległ zmianie, że nie 1,50 mr., ale 1,00 mr. Tow. dekanalne od każdego członka czynnego płacić są zobowiązane.

W myśl powyższej jednogłośnej uchwały mają delegaci na Walnem Zebraniu Związku, przy głosowaniu postąpić.

Spiew, przez dobrane głosy był dobrze wykonany i potężne uczynił wrażenie, do czego się znacznie przyczyniła akustyka sali w Ochronce. Odśpiewano: „O sacrum", „Per merita sancti Adalberti" i „Haec est dies".

Pan A. Witt miał piękny odczyt „O wytrwałości", zachęcając do gorliwej pracy w Towarzystwie, za co złożono mu podziękowanie.

Poczem sekretarz p. A. Pluta wypowiedział wiersz własnego utworu p. t. „Do pieśni". Huczne oklaski i podziękowania przez powstanie z miejsc były dowodem, że utwór ten każdemu się podobał.

Na przyszłe zebranie przyrzekł mieć odczyt p. Antoni Michałowski, a deklamacyą p. J. Głowacki.

Na początku zebrania przybył także JWImć. X. Szambelan i Kanonik Poniński wraz z Wielm. Imci X. M. Bożuchowskim, wik. z Kościelca.

W końcu, na wniosek prezesa p. Surzyńskiego wzniesiono ze zapałem trzykrotny okrzyk: „Niech żyje!" JWX. Imci X. Dziekanowi i Kanonikowi Ponińskiemu, jako honorowemu członkowi za życzliwość i piękne przemówienie przy pożegnaniu.

Pouczeni i na duchu pokrzepieni, z nadzieją w lepszą przyszłość, opuszczali członkowie salę posiedzeń, unosząc ze sobą z odbytego zebrania miłe wspomnienie.

Od Redakcyi.

Panu J. U. w Poznaniu. — Towarzystwo „Stella" — Wydział kolonii wakacyjnych — otrzymawszy t. zw. prawo korporacyjne już się urządzaniem obchodu „Wianków" zajmować nie może. Urządziło go tym razem grono osób, a że urządziło go tak, nie inaczej i nie tam, gdzie dawniej, to już nie wina urządzających, ale wina policyi.

Panu Józefowi N. w Miasteczku na Górnym Ślązku. — Bez bliższego określenia numeru i rocznika trudno wyszukać ową melodyą. Udaj się Pan z prośbą do regensa seminaryum duchownego w Gnieźnie, ks. Żychlińskiego, a z pewnością każe Panu melodyą tę przesłać.

Panu W. Nowakowi w Swakopmund-Afryka. — Dziękujemy serdecznie za łaskawą pamięć i nadesłane wiadomości. „Pracę" i nadal regularnie wysełać będziemy. Czołem!

Czytelnikowi „Pracy" R. B. — Wycinek odebraliśmy i dziękujemy serdecznie.

Panu Kazimierzowi B. w Kępnie. — Odebraliśmy, brawo! Materyał zużyjemy.

Nieznanemu 99 w Bernburgu. — Za życzliwość dziękujemy, ale zechce Pan wystąpić z otwartą przyłbicą, bo anonimów uwzględniać nie możemy.

Panu Franciszkowi O. w Olgringen. — Wszystko w porządku, dziękujemy bardzo. Zużyjemy.

Panom P. i K. (biuro miernicze i melioracyjne). — Prosimy o potwierdzenie nadesłanej notatki przez odnośny zarząd dóbr, a chętnie zamieścimy. Nieraz wiadomości takie mijały się z prawdą a przez zamieszczenie naraziła się redakcya tylko na nieprzyjemności.

Panu W. S. w Berlinie. — Dziękujemy za łaskawą pamięć. Nie zamieszczamy, gdyż wiadomość byłaby opóźnioną tem więcej, że o tym obchodzie podajemy korespondencyą już w dzisiejszym numerze.

Panu K. N. w Poznaniu. — Wiersza p. t. „Więzienie" z względów od nas niezależnych zamieścić nie możemy.

Panią Prawdzicką prosimy o przybycie do Administracyi „Pracy" celem wyjaśnienia wiadomej sprawy i wyjawienia swego właściwego nazwiska.

Panu J. Rzendkowskiemu w Nakle. — Na cel wzmiankowy w miejsce powinszowań noworocznych odebraliśmy dnia 2-go stycznia r. b. 3 mrk.

Panu Andrzejowi N. w Przytocznicy nad Prosną. — Wiersz pierwszy już był zamieszczony w dawniejszych rocznikach „Pracy" — drugiego nie możemy zamieścić, bobyśmy powędrowali do „kozy!" — Dziękujemy za łaskawą pamięć.

Panu K. P. z P z nad Prosny. — Żadnych notatek, wierszy itd. itd. nadesłanych bez podpisu nie zamieszczamy, lecz wrzucamy do kosza.

Panu J. K. w Czerniejewie. — Czy wiersz nam nadesłany p. t. „Życie" jast Pańskim utworem, czy też *tylko odpisany?* Prosimy o odpowiedź względnie podanie nazwiska autora.

Pani Helenie Eldracher w San Francisco Cal: — (Ameryka) — Wysłanych w styczniu r. b. 10 dolarów na fundusz dla ofiar wrzesińskich nie odebraliśmy.

Panu St. Sękowskiemu w K. — Za manuskrypt dziękujemy. Żużyjemy później.

Panu Ad. Ziemba w W. — „Kuryer Warszawski" Warszawa — Krakowskie przedmieście.

Panu Jabłońskiemu w N. — Życzeniu Pańskiemu zadość uczynić nie możemy. Umieściliśmy ogłoszenie.

Panu Franciszkowi Kurc. w F. — Dziękujemy serdecznie. Czołem!

Panu St. Amborskiemu w B. — Wymienionej karty nie odebraliśmy. Może Pana wojskowa władza o tem poinformuje. —

Panu Bolesławowi Ł. w Ś. — Dziękujemy bardzo; chwilowo nie będziemy jednakowoż w tej sprawie więcej illustracyi zamieszczali.

Panu L. Lew . . . . . . w S. — Za łaskawą pamięć o więźniu naszym serdecznie dziękujemy. Kompozycyą odebraliśmy i wręczymy mu takową po powrocie na wolność. Prawdopodobnie zamieścimy ją później także w „Pracy".

Pani M. P. w Poznaniu. — Wierszyk p. t. „Ostatnia godzina" powędrował do kosza. Pytasz się Pani w nim: „Czysz (sic) nie masz dla mnie ratunku?" O jest niezawodny: nie pisz Pani wierszy, ale ucz się Pani gramatyki polskiej pilnie, abyś Pani umiała na drugi raz napisać czy też odpisać wierszyk bez błędów ortograficznych, których rój cały upiększa nadesłany nam Jej utwór poetycki.

Długoletniemu wiernemu Czytelnikowi w Szubinie. — I to będzie! Wielostronnym i licznym życzeniom Czytelników stanie się zadość, ale „nie od razu Kraków zbudowano".

Panu dr. S. G. w Zakopanem. — Owszem, bardzo prosimy. Za słowa uznania i t. d. najserdeczniej dziękujemy.

Pani Maryi B. w Zielonogórze. Pr. Zach. — Administracya „Komara" Poznań, ul. Fryderykowska nr. 12.

Panu Janowi Z. w Berlinie. — Owszem opiszemy, gdy przyjdzie kolej na ten powiat.

Panu Adrzejowi Koczorowskiemu w Bismark. — Prosimy się na poczcie energicznie upomnieć i nie ustąpić, dopóki zaległych numerów nie dostawią. My tutaj poczcie „Pracę" regularnie dostawiamy a za spóźnienia, które z jej winy powstają, nic nie możemy.

Pani Zofii G. w Szurkowie. — Wystarczą zupełne adresy: „Nowa Reforma w Krakowie", oraz „Czytelnia dla kobiet w Krakowie, Galicya."

Panu W. K. w Wronkach. — Nie! Takich „ciekawskich" jest wiele tysięcy!

Od Administracyi.

Panu Fr. Dudzinskiemu w H. — Prosimy przysłać kwit abonentowy i 20 fen. na porto a przyślemy.

Panu Antoniemu K. w Buku — Tosamo.

Panu Pawłowi H. w U. — Tosamo.

Panu Krasińskiemu w O. Prosimy przysłać kwit abonamentowy a przyślemy.

Panu Nasalowi. Berlin. Zechce się Pan na tamtejszej poczcie zapytać. Czy to jednakowoż możebnem będzie, nie wiemy.

Panu W. Różyńskiemu w D. Do 1-go października 1,90 mr.

Panu S. Będzikiewiczowi w K. — Numer ten zupełnie wyczerpany.

Panu Dywickiemu w Św. — Wyczerpane.

Panu F. Zillińskiemu w P. — Obraz kosztuje bez oprawy 16,00 mrk. Nabyć można w księgarni Cybulskiego, Poznań, św. Marcin.

— Synowie twoi są tak podobni do siebie, że nigdy nie mogę ich rozpoznać.
— Ależ to bardzo łatwo: jeden nazywa się Kazio, a drugi Władzio.

Prosimy odciąć!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für die Monate August u. September die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“
(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)
für 0,84 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,84 M. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post ....

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das III. Vierteljahr die in Pose erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska“
(Abtheilung II. t. poln. Nr. 13 der Zeitungspreisliste)
für 60 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post ....

Folwark 475 mórg z wodnym młynem, niedaleko Poznania, szosa i stacya koleji w miejscu, incl. 100 mg. dwusiecznych łąk, z znacznym pokładem torfu, 50 mórg lasu i ca. 12 mg. wody, budynki murowane w wielkim porządku, młyn wodny prowadzony na wielką skalę przynosi bardzo znaczny stały dochód. Dom mieszkalny murowany na suterenach, o 9 pokojach, kuchni i t. d., w ładnym ogrodzie, położenie bardzo romantyczne i tuż przy samym Poznaniu, z świetną komunikacyą. Inwentarz 12 koni, 30 krów i t. d., wszystko utrzymane w wielkim porządku, przy zaliczce 80 tys. m. za 180 tys. mk. Oferty upr. do ekspedycyi „Pracy" pod nr. 2098.

Folwark 310 mg. pod Wronkami (z młynem) z wyśmienitą komunikacyą, incl. 20 mórg pysznych łąk, 60 mórg ładnego lasu *z młynem wodnym, urządzonym także do pędzenia parą, przynoszącym rocznie 7000 mk. stałego dochodu*, budynki murowane pod dachówką i papą w dobrym stanie, *wygodny i obszerny dom mieszkalny z werandą i balkonem, w pięknym ogrodzie*, niedaleko ładna oficyna dla służby i t. d., inwentarz 7 koni, 14 krów, 15 sztuk bydła młodocianego, około 30 sztuk świń i tuczników, położenie śliczne, okolica bardzo dobra, przy zaliczce 35 tys. m. za 87 tys. mk. Oferty do ekspedycyi „Pracy" pod nr. 2091.

Folwark 550 mórg w pobliżu Poznania, od stacyi koleji 4 klm., ziemia dobra, zdrowa jęczmienna, 10 mg. pysznych łąk, kawał ładnego lasku, budynki murowane pod papą w porządku, dwór murowany pod papą wygodny o 7 pokojach, kuchni etc. w pięknym ogrodzie; inwentarz 12 dobrych koni roboczych, 1 stadnik, 18 krów, 5 cielnych jałowic, 10 szt. młodocianego, ca. 20 szt. świń itd. Żniwa zapowiadają się świetnie, przy zaliczce 30 tys. mk. za 110 tys. mk. Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod *Nr. 2235.*

Folwark 500 mg. w okolicy Chodzieża, incl. ca. 70 mórg łąk z niewyczerpanym pokładem torfu, ziemia dobra jęczmienna i żytnia w kulturze, budynki gospodarcze murowane pod twardemi dachami w porządku, dwór pański, murowany, na suterenach o 10 obszernych pokojach, kuchni etc. w pięknym parku z widokiem na wielkie jezioro. Wysiew: 150 mórg żyta, 20 mórg jęczmienia, 80 mórg koniczyny, 40 mórg owsa, 70 mg. kartofli itd. Żniwo rokuje obfity plon; inwentarz: 9 koni, 1 stadnik, 23 krowy, 20 sztuk bydła młodocianego itd. przy zaliczce 30 tys. mk. nader korzystnie do nabycia, ponieważ dziedzic nie jest rolnikiem i mieszka w innej prowincyi a folwark ten odebrał tylko w spadku. Oferty do eksp. „Pracy" pod Nr. 2104.

Wila

z pięknym ogrodem

na jednem z Poznańskich przedmieść jest **zaraz** przy małej zaliczce do **sprzedania.**

Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy" pod lit. **S. 100.**

Willa

w **Zakopanem** wysoko leżąca, z cudnym widokiem na okolicę; 3 lata jak budowana — powodzenie dobre — 12 pokoji gościnnych, śliczny ogród itd. jest za bajecznie tanią cenę z powodu przesiedlenia właściciela do *sprzedania. Cena 35 tysięcy florenów*, które muszą być gotówką wypłacone.

Bliższych objaśnień, lecz tylko reflektantom udzieli

DOM BANKOWO-KOMISOWY

Drwęski & Langner

Poznań, ulica Rycerska nr. 38.

Wieś rycerska

600 mórg w okolicy Wągrówca, incl. 80 mórg pysznych łąk i ca. 3 mg. rybnych stawów, ***ziemia przeważnie pszenna, reszta dobra jęczmienna,*** budynki obszerne i w dobrym stanie, ***dwór pański o 9-ciu pokojach etc. w ładnym parku;*** inwentarz liczny i dobry. Wysiew 40 mg. pszenicy, 40 mg. jęczmienia, 240 mórg żyta, 100 mg. owsa, 80 mg. perek itd. ***Urodzaje świetne. Przy zaliczce 40,000 mrk.*** za 270 mrk. morgę do nabycia od nierodaka.

Drwęski & Langner

Dom Bankowo-Komisowy

w Poznaniu ul. Rycerska 38.

Wioska

w okolicy Gniezna tylko 2 klm. od szosy ca 800 mórg. incl. 40 mg łąk, z niewyczerpanym pokładem torfu, ***ziemia przeważnie pszenna i w wysokiej kulturze,*** budynki kompletne, murowane, pod papą.

Dom mieszkalny nowy w rodzaju willi, murowany, pod łupkiem na suterenach, o 8-miu wygodnych, obszernych pokojach i t. d. inwentarze kompletne i w porządku, od miasteczka i szosy tylko 1 klmtr. ***przy zaliczce 75,000 mk.*** 300 mk. za morgę. Oferty upr. do ekspedycyi „Pracy" pod ***No. 2365.***

Korzystne kupno

Folwark

460 mórg pod Środą, ***ślicznie odbudowany i sam dla siebie, ziemia buraczanna I kl. ładny obszerny dwór w rodzaju pałacyku,*** inwentarz kompletny i mocny ***Grundsteuerreinertrag ca 3 mk. z morgi*** od Środy niespełna pół mili, ***przy zaliczce 30,000*** za 140,000 mk.

Zgłoszenia przyjmuje

Drwęski & Langner

Dom Bankowo-Komisowy

Poznań

ul. rycerska 38 telefon 1246

Folwarczek 150 mórg tuż pod Poznaniem z stacyą koleji w miejscu, ziemia pszenna od skiby do skiby w wysokiej kulturze, wygodny i obszerny dwór o kilku pokojach, znakomite budynki, mocny inwentarz, doskonałe żniwa itd. przy zaliczce 35 tys. mk. za 125 tys. mk. Oferty do eksp. „Pracy" pod Nr. 2223.

Gospodarstwo 170 mórg w większem, bardzo handlowem mieście, niedaleko Poznania, ze stacyą kolejową w miejscu, *ziemia obiecana, w najwyższej kulturze, budynki bardzo obszerne, murowane, w najlepszym porządku, całe podwórze ogrodzone murem, dom mieszkalny elegancka parterowa wila z wielką salą, 10 pokoji w ślicznym ogrodzie, kościół i szkoła tuż przy wili,* inwentarz kompletny i mocny, do sprzedania za 90,000 mk. przy zaliczce 30,000 mk. Oferty upr. się do eksped „Pracy" pod nr. **2210.**

Willa

w **Zakopanem** położona w najromantyczniejszej okolicy, dwupiętrowa, o 30 pokojach, przytem oficyna, piękny ogród, werandy itd. jest z powodu podeszłego wieku właściciela do *sprzedania.*

Cena 75 tysięcy florenów, zaliczka 50 tys. florenów.

Bliższych objaśnień, lecz tylko wprost reflektantom udzieli

DOM BANKOWO-KOMISOWY

Drwęski & Langner

Poznań, ulica Rycerska nr. 38.

U bibliomana.

— Jakto, za tę starą książkę dałeś pan 100 marek?

— Tak panie, to rzadkość, biały kruk.

— Więc dla czego jej nie przedrukują?

— Bo jakby ją przedrukowali, toby jej nikt nie kupił.

Zakład artystyczno-dekoracyjny

w Gnieźnie.

Styl Zakopiański.

Wielebnemu Duchowieństwu oraz Szanownemu Obywatelstwu miasta **Gniezna** i okolicy polecam się do wykonywania wszelkich śliśe stylowych prac, wchodzących w zakres

malarstwa dekoracyjnego.

Dekorowanie lub też odnawianie kościołów, kaplic, ołtarzy wykonywa się sumiennie i po nader przystępnych cenach. 366

Szkice i kosztorysy bezpłatnie i franko.

Zakład istniejący 27 lat, prace tegoż wykonane po kościołach w Gnieźnie i okolicy dają gwarancyą za sumienność i artystyczną wartość wykonanych robót.

Specyalność:

Dekoracye sufitów i ścian w stylu Zakopiańskim.

Wykonywa się również w zakładzie naszym rysunki na pojedyncze meble i na całkowite urządzenia salonów, jadalń i sypialń w stylu Zakopiańskim.

Szczegółowe rysunki do pracy warsztatowej dla stolarzy.

Bernard Gosieniecki i syn.

Na mocy zlecenia wprost, poszukujemy dla rodaka, znanego obywatela, tu w Księstwie kupna

majątku

z przyzwoitym domem, dobremi budynkami, z gorzelnią i nieco lasu, choćby średniego, przy zaliczce 300,000 marek.

Drwęski & Langner
w Poznaniu.

Kupno okolicznościowe.

Z powodu innego przedsiębiorstwa mam do sprzedania realność w samem centrum Górczyna przy trzech ulicach, obszar wynosi ***3200 kwadr. metr.***, ***z domem mieszkalnym, murowanym, w rodzaju willi o 8-miu pokojach w parku, stajni*** etc. Przy domu jest duży ogród warzywny i owocowy. Realność nadaje się do każdego przedsiębiorstwa i jest ***już przy zaliczce 6000 marek do nabycia.*** Zgłoszenia przyjmuje pod lit. ***J. S.*** ekspedycya „Pracy,“ Poznań, ulica Rycerska nr. 38.

Kupno okolicznościowe.

Z powodu choroby właściciela jest korzystnie do nabycia w jednem z większych fabrycznem mieście (ca. 5000 mieszkańców) tu w Księstwie posiadłość w bardzo korzystnem położeniu, składająca się z pięknej, nowej, dwupiętrowej kamienicy, obszernego podwórza z zajazdem, stajniami etc., ślicznego, dużego ogrodu dla publiczności. W kamienicy jest pierwszorzędny hotel, restauracya, winiarnia, handel korzenny, destylacya — przytem jeszcze skład węgli, wapna, artykułów budowlanych i t. d.

Cena za posiadłość 85,000 mk., towary oblicza się podług faktury, **do objęcia potrzeba 50 tys. marek.**

Oferty pod lit. G. 200 do eksped. „Pracy,“ Poznań, ul. Rycerska 38.

Folwarczek w okolicy Gniezna **tylko 1 klm. od stacyi kolejowej,** ca. 136 mórg incl. 15 mórg dobrej łąki z pokładem torfu, troszeczkę ładnego lasu, **ziemia dobra jęczmienna w kulturze,** bardzo dobrze obsiana, budynki wystarczające i w porządku, inwentarz kompletny, ***przy zaliczce 12,000 m.*** za 31,500 mk.

Oferty do ekspedycyi „Pracy“ pod nr. **2354**.

Folwark 720 mórg w okolicy Znina, od miasta tylko 1/2 mili, zdrowa żytnia ziemia i bardzo urodzajna, **20 mórg pięknych łąk**, 270 mórg jeziora bardzo rybnego, **budynki nowe, dom mieszkalny murowany o 6 pokojach, kuchni** itd., inwentarz kompletny **przy zaliczce 45,000 mk.** pod bardzo korzystnemi warunkami

Oferty upr. do eksp. „Pracy“ Nr. 2238.

Folwark 200 mórg tuż pod Poznaniem, ziemia dobra, zdrowa żytnia, w wysokiej kulturze; budynki murowane, w dobrym stanie, dom mieszkalny obszerny i wygodny, inwentarz **8 koni i 30 krów,** mleko odstawia się do sklepów do Poznania, ***przy zaliczce 25,000 mk.*** za 76,000 mk.

Oferty upr. do eksp. „Pracy“ ***Nr. 2252.***

Folwark 370 mg. incl. 16 mg. dobrych łąk i 30 mórg pięknego lasu, *pod Grodziskiem,* od szosy tylko 1 klm., *ziemia jęczmienna w kulturze,* budynki kompletne i w porządku, *dwór na suterenach murowany obszerny i wygodny w pięknym ogrodzie;* inwentarz kompletny, *przy zaliczce 20 tys. mk. za 83 tys. mk.*

Oferty upr. do eksp. „Pracy“ pod **Nr. 2180.**

Folwark

800 mg., incl. 60 mg. pysznych łąk, w okolicy Wrześni, stacya kolei i szosa w miejscu; ziemia od skiby do skiby pszenna i buraczanna w bajecznej kulturze. Wysiew 280 mg. oziminy, 100 mg. jęczmienia, ***40 mg. buraków cukrowych,*** 20 mórg lucerny, 200 mórg kartofli i t. d., budynki przeważnie murowane, obszerne i w porządku, ***wygodny dom mieszkalny o 9-ciu pokojach, kuchni etc. w ślicznym ogrodzie,*** inwentarz 8 koni robocz. 31 wołów rob. ca. 80 szt. bydła incl. krów dojnych, 300 owiec, parowa młockarnia itd., ***wszystko w najlepszym porządku.*** Taksa landszaftowa z roku 1888 176,400, ***przy zaliczce 60 tys. mk.*** za 330 mk. morga. ***Majątek ten jest od 50 lat w obecnych rękach niemieckich i jedynie dla śmierci właściciela na sprzedaż.***

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Wieś
rycerska

840 mórg, incl. 60 mg. dobrych łąk i 15 mórg pięknego lasku, ***w okolicy Rogoźna, od przystanku kolei tylko 2 klm., ziemia dobra jęczmienna bardzo dobrze obsiana w wysokiej kulturze,*** — budynki nadkompletne, murowane pod twardemi dachami w porządku; ***wygodny i obszerny dwór pański na suterenach w wielkim, cienistym parku.*** Całość robi wrażenie pańskiej siedziby. Inwentarz kompletny i bardzo dobry; urodzaje znakomite; gospodarstwo dość zasobne, ***przy zaliczce 60,000 mrk., za 200 marek morgę.***

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Folwark 370 mórg, niespełna godzinkę szosą od Poznania, stacya kolejki osobowej w miejscu, ziemia od skiby do skiby pszenna, wydrenowana w wysokiej kulturze, gospodarstwo zasobne, budynki obszerne murowane w wielkim porządku, dom mieszkalny o 5 pokojach, przytem wielki ogród owocowy, inwentarz mocny i liczny ***przy zaliczce 30,000 mk.*** za 110,000 mk.

Oferty upr. do eksp. „Pracy“ pod ***Nr. 2248.***

Folwark 620 mórg pod Wągrówcem tuż przy mieście, **ziemia prawie wszystka pszenna, piękne łąki, wielkie bardzo rybne jezioro,** budynki obszerne, w dobrym stanie, **dwór pański wygodny, w pięknym ogrodzie,** inwentarz kompletny, ***przy zaliczce 50,000 m.*** za 145,000 mk.

Jest wdzięczna gleba, majątek wartościowy i dochodny. Oferty upr. do eksp. „Pracy“ pod nr. **2258**.

Folwark. 400 mg tuż pod Poznaniem z zupełnie nowemi murowanemi budynkami, ***ładnym nowym i obszernym domem mieszkalnym w rodzaju willi resp. pałacyku,*** z licznym i mocnym inwentarzem, ziemia przeważnie pszenna i w wysokiej kulturze, ***tuż przy dworcu, przy zaliczce 30,000 mk.*** za 135,000 marek.

Oferty do eksp. „Pracy“ pod ***Nr. 2353.***

Folwark ca. 160 mg. w okolicy Kostrzyna ziemia przeważnie pszenna w dobrej kulturze, dom mieszkalny o 3 izbach. kuchni etc., obora murowana, welbowana na żelazie, wielka stodoła o 2 bojowiskach wszystkie budynki w porządku, inwentarz kompletny, ***przy zaliczce 18,000 m.*** za 45,000 mk. **Kolejka w miejscu.** Oferty do eksp. „Pracy“ pod nr. **2344**.

Folwark 220 mg. pod Starogardem, Pr. Zach., ziemia od skiby do skiby pszenna i buraczana, budynki obszerne w dobrym stanie. ***Dwór w stylu pałacykowym o 12 pokojach w pięknym cienistym parku,*** gospodarstwo zasobne, ***przy zaliczce 50,000 marek*** za 240,000 marek.

Oferty upr. do eksp. „Pracy“ pod ***Nr. 2364.***

Folwark 250 mórg — lecz z własnem polowaniem — pod Krotoszynem, z gimnazyum, wyższą szkołą żeńską, garnizonem i t. d., ***ziemia pszenna w bajecznej kulturze,*** 15 mg pysznych łąk, budynki murowane pod dachówką, **cegielnia produkująca rocznie przeszło pół miliona; dworek zupełnie nowy, pański, bardzo ładny i obszerny, w pięknym ogrodzie,** ***przy zaliczce 75,000 m.*** za 150,000 mk.

Oferty upr. do eksp. „Pracy“ pod nr. **2260**.

Folwark 500 mórg pod Koźminem, wszystko pszenna ziemia I kl., ładny i wygodny dworek, budynki obszerne i w porządku, inwentarz kompletny i mocny, ***Grundsteuerreinertrag ca. 3 mk. z morgi,*** przy zaliczce 60,000 mk. po 350 mk. za morgę.

Oferty upr. do eksp. „Pracy“ pod nr. ***2282.***

Folwark 460 mg. w okolicy Krotoszyna, **ziemia pszenna I kl. wydrenowana i wymarglowana w wysokiej kulturze,** budynki obszerne i w porządku, dom mieszkalny wygodny w ładnym ogrodzie, 12 koni, **50 sztuk bydła rasowego,** 80 świń. **Żniwa zapowiadają się świetnie. Przy zaliczce 40,000 mk.** za 130,000 mk.

Oferty upr. do eksp. „Pracy“ pod **Nr. 2244.**

Folwark 200 mórg pod Trzemesznem, ziemia do połowy pszenna i buraczanna, reszta dobra, zdrowa, jęczmienna, 10 mórg pysznych łąk, budynki murowane pod dachówką, dom mieszkalny o 6 pokojach, wygodny, w pięknym ogrodzie, inwentarze kompletne, ***przy zaliczce 25,000 marek za 65,000 mk.***

Oferty upr. do eksp. „Pracy“ pod nr. ***2288.***

Folwarczek 240 mrg. tuż przy Rogoźnie z gimnazyum, ***dobrej pszennej i buraczannej ziemi i ślicznemi łąkami, obszernemi murowanemi budynkami, wygodnym domem mieszkalnym o 6 pokojach,*** inwentarz 6 koni, 30 sztuk bydła, znaczna trzoda świń i t. d. ***przy zaliczce 15,000 mk*** za 70,000 mk. Wysiew 25 mg. pszenicy, 50 mg. żyta, 40 mg. jęczmienia, 50 mg. kartofli i t. d.

Oferty up. do Eksp. „Pracy“ **Nr, 2300**.

Folwark ***330 mórg, pod Gnieznem,*** ziemia zdrowa i urodzajna żytnia, 36 mg. łąk z pokładem torfu, budynki w porządku, dom mieszkalny o 6 pokojach, 4 klmtr. od dworca, inwentarz kompletny, ***przy zaliczce 12,000 mk.*** za 48,000 Mk.

Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod ***2324.***

Folwark ***670 mg. pod Szubinem, ziemia pszenna 1 kl., 100 mg. pysznych łąk, 40 mg. niewyczerpanych pokładów bardzo dobrego torfu. Obszerny dwór pański, w ładnym parku,*** budynki bardzo dobre i kompletne, 15 koni i 60 szt. bydła, od miasta tylko 4 klmtr., ***przy zaliczce 60,000 mk.*** za 200,000 mk.

Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ ***No. 2322***

Dyrektor: — Jak pan śmiałeś zmieniać moje rozkazy? Czy pan tu jesteś dyrektorem, czy ja?

Sekretarz: — Wiem, że nie ja.

Dyrektor: — Więc jakiem prawem postępujesz jak idyota?

Nasze dzieci.

Rodzice przyrzekają Elżuni, że jak będzie grzeczna, to jej bocian przyniesie braciszka lub siostrzyczkę.

Po pewnym czasie zjawiają się w domu bliźnięta.

Elżunia (na widok zakłopotanej twarzy ojca):

— Tatuńciu, chyba już musiałam być za grzeczna!

— Czem jest pan Władysław, który się ożenił z panną Julią?

— Posiada bardzo intratny urząd: jest mężem swojej bogatej żony.

Filozof.

— Pan taki samotny... Czy nie wypadało by pomyśleć o tem, żeby przy panu był ktoś czuły, wierny, baczny, przywiązany...

— Owszem, pani... Myślę o tem i właśnie dla tego mam zamiar kupić sobie — psa.

HUMORYSTYKA.

Pieśń dziadowska.

Dziad był wielce uczony,
Jentelegent wrodzony,
Zawżdy wiedział, mówiąc szczerze,
Co stojało w kulijerze,
Boć miał olej w czerepie.

Ale biedne dziadzisko nie dychtowne miał wszystko, bo mu psiska wyszarpały wedle poły teziur cały, obnażając wstydliwie. Zdarte „nastki“ z drelichu, pobudzały do śmiechu: w baletowej kiejby scenie, pokazywał dziad golenie, przez krótkawe „potrzeby.“ „Szumowisko“ gwoździone, służyło za obronę; gdy bestye opadały, wnet gwoździaste sprawiał wały, aż „farbował“ pies wszelki.

Czarownikiem nielada
Był dziad, jako powiada
Okolica, boć go znali
Jako wielcy, tak i mali.

Podsłuchane.

— Czy pani istotnie nie ma przyjaciółek?

— Owszem mam jedną, ale ją tak nienawidzę, aż strach!

Nowy typ.

Secesyjnie modny pan:
Na ramionach worek wielki, —
Rozdzielony z tyłu włos, —
W oku denko od butelki, —
W kabłąk zgięte rączki ma, —
Nogi cienkie jak dwie kości —
Na obliczu lekki róż,
No i puder, dla pewności.
Swojej mowy nie chce znać,
Wszelką brzydzi się też pracą,
Po francusku gada wciąż,
Zaś po polsku — po co? na co?!
Nie uznaje swoich — nie!
Żyć z hołotką — czasu strata!
Zna Monaco — Berlin — Wien,
Gdzie gra tylko w bakarata.
Oto secesyjny szkic,
Który z życia dziś wydarto.
Warto by mu ramki dać
I.... powiesić by go warto!...

Na zabawie.



Młodzieniec bawi naiwną panienkę.

— Prawda pani, że zima tegoroczna całkiem niepodobna była do przeszłorocznej?...

— O tak!... Swoją drogą niech pan pomówi z mamą...

Kwestya kobieca.

— Jakie kobiety są najbardziej natrętne?

— Hiszpanki.

— Dla czego?

— Bo często nawet na brodach u mężczyzn się lokują.

Oczerniony.

— Słyszałem, że brat pani siedzi w więzieniu za długi. Czy to podobieństwo?

— Oczernili go źli ludzie... On wcale nie siedzi za długi, bo on jest porządny człowiek, a że prowadził handel kradzionymi zegarkami, to przecież nie żaden wstyd.

Z ornitologji.

— Jak się nazywa stworzenie, które gwiżdże, szybko lata i skacze?

— Nadkonduktor na kolei, panie profesorze.

Na egzaminie botaniki.

— Kiedy najlepiej karczować dęby?
— Jak żydzi dobrze za nie płacą...

W szkole.

Nauczyciel: Oj, bębny, bębny, rady sobie z wami dać nie mogę! Czem was więcej uczę, tem bardziej głupiejecie...

Z albumu panny NN.

Kureczka ma kugucika,
Czyżykowa ma czyżyka,
Wężowa ma sobie węża,
Więc ci życzę, pani, męża.

Przy spisie ludności.

Urzędnik. Czem się pani mąż zajmuje?

Żona. Kaszle od pół roku.